

LUBOSZA
DĄBROWSKA

KRONIKA TRZECH POKOLEŃ

Pomiechówek 1995

Motto

Czemu tak wielbisz, boski Sokratesie,
Tego młodzieńca? Nie znasz nic lepszego?

Czemu jak w bóstwo
Wpatrujesz się w niego?

Kto myślą sięga głębi, kocha życie.
Kto poznał świat, pojmuje, co to młodość.

Mędracy na starość
Kłaniają się pięknu.

Wiersz **Friedricha Holderlina** *Sokrates und Alcibiades* w przekładzie **Antoniego Libery**, w F. Holderlin, *Co się ostaje, ustanawiają poeci*, Gdańsk 2009, s. 57.

Lubosza Dąbrowska

Jak to z kroniką było

Wtedy Asiunia powiedziała

17-tego lutego 1999 roku, w środę popielcową siedziałyśmy sobie z Asiunią Korsak na małej pogawędce w pokoju koło kominka, przy filiżance kawy tylko, bo to przecież post ścisły. Chwile spędzone z Asiunią to dla mnie prawdziwa uczta duchowa. Oprócz tematów które Asiunia tak pięknie i obrazowo przedstawia oraz spraw, które jednakowo nas pasjonują, potrafi ona oddać atmosferę do jakiej przywykła w czasach, kiedy tradycje przodków były jak chleb powszedni w każdym katolickim domu niezależnie od tego czy był to dom zasobny materialnie, czy bardzo ubogi.

Asiunia oglądała album do którego wkleiłam stare zdjęcia i nagle powiedziała: Luboszko teraz powinnaś opisać kulisy swojej pracy nad pamiątkami rodzinnymi. Zaczęłam się nad tym zastanawiać. Gdyby chodziło tylko o sprawy techniczne jak: znalezienie odpowiedniego zeszytu, odtwarzanie starych zdjęć, dobór atramentu, pióra, kleju itp., byłoby to proste. Ale tu chodzi o całkiem coś innego. Inspiracją tej pracy była ogromna miłość do utraconej Matki i do pamiątek rodzinnych, które ona ocaliła z pożogi wojennej. Uczucia te towarzyszyły każdej mojej myśli, wszystkim poczynaniom i ich realizacji. Czy potrafię wyrazić to wszystko słowami? Mam wątpliwości. Ale skoro Asiunia mi to poddała to spróbuję.

Czy umiłowanie przeszłości tkwiło we mnie ukryte gdzieś w tak zwanych genach i czekało na przebudzenie? Myślę, że tak. Pierwszym epizodzikiem, który wskazywałby na to, a który pamiętam, była sytuacja po powstaniu warszawskim w 1944 roku. Hanusia, która każdą wolną chwilę spędzała w szpitalu miechowskim, opowiadała w domu o dzieciach, które wysiedlone ze stolicy w raz z rodzicami, często poranione odłamkami i chore leżały w szpitalu. Spakowałam wtedy wszystkie swoje zabawki, z wielkim trudem zdobywane dla mnie przez Mamę i prosiłam Hanusię aby rozdała je tym dzieciom. Wszystkie – oprócz mojego małego misia, którego dostałam od Taty gdy miałam sześć miesięcy. Już wtedy ceniłam w nim pamiątkę. Misia tego mam do dziś.

Jako młoda dziewczyna mieszkając z Mamą w Miechowie z wielkim szacunkiem odnosiłam się do wszystkiego, co dotyczyło przeszłości. Nie gromadziłam sama pamiątek, ale cieszyłam się, że robi to Mama i że one są w naszym domku. Uczucie to zaowocowało wyborem kierunku studiów: historii. Przedmiot ten kochałam tak samo jak zawód nauczycielski.



Rok 1960. Lubosza Karpińska, jako nauczycielka historii Szkoły Podstawowej Nr 1 im. Henryka Sienkiewicza w Miechowie, na wycieczce z klasą, której była wychowawcą.

Zaś na zdjęciu niżej widzimy tę samą klasę trzy lata później, już z nowym wychowawcą, bo ich wychowawczyni wyszła za mąż i wyjechała do Nowego Dworu Mazowieckiego. W tej siódmej klasie pojawił się wtedy i piszący te słowa, w Kalinie Małej była bowiem wtedy tylko sześcioklasowa Szkoła Podstawowa.

Pan Feliks Tustanowski – wychowawca klasy VIIa i ta klasa. Ciekawe, kto z moich znajomych poznałby gdzie ja stoję. Ja teraz wszystkich nazwisk koleżanek i kolegów chyba sobie nie przypominę. Obok mnie stoi Pytel (Janusz?) i wspiera obie ręce na ramionach Kołasczyńskiego , z którego strony prawej (jego strony prawej) stoi Jasio Książek z Kaliny Małej (obaj do tej klasy dołączyliśmy w siódmej klasie). Obok niego Jasio Woda i dalej Stefek Dulba. Z tyłu za Stefką - Podsiadło, obok Andrzej Kołodziejczak i (?). Potem Pytel, ja i koło mnie Gaska, a za nim Edek Danek, potem Jurek(?) Szarek, Józek Perzyński(?) i Andrzej Adamek. Przed nim „Meczko”, obok „Siwy”, Wacek Piec, Smutek i Rysiek (?) Kozioł. W środku tego rzędu pozostał jeszcze ten najmniejszy chłopak w klasie, którego nazwiska teraz sobie nie przypominam. W rzędzie niższym z prawej strony (tak jak patrzymy) stoi Romek Grzyb. Obok niego Czyżewska. Pozostałych nie pamiętam z wyjątkiem drugiej z lewej strony, która zdaje się nazywała się Jakubiak (a następna czy nie Bogacz?). W pierwszym rzędzie przed Jakubiak siedzi chyba Lamparska i po prawej stronie Tustanowskiego, Ania Świrek. I tyle. Reszty nazwisk nie pamiętam dziś (03.02.2013).



Niema prośba Mamy

O Franciszku Kulerze ze Sławic, wielkim społeczniku i lokalnym publicyście, którego zwano Frankiem spod Miechowa, słyszałam od Mamy, ale wtedy nie czułam potrzeby kontaktu z nim. A w 1963 roku jako młoda mężatka wyjechałam z Miechowa i moje uczucia i wszelkie wysiłki pochłonięto życie rodzinne. Gdy Mama zamieszkała z nami na stałe w drugiej połowie lat 70-tych, oczywiście przywiozła swoje najdroższe pamiątki. Poukładała je na regale w swoim pokoju. Po śmierci Mamy jej pokój długo pozostawał takim jak go zostawiła. W czasie ferii zimowych w 1990 roku **usiadłyśmy z Asiunią w opuszczonym pokoju na górze z zamiarem przeczytania listów od Taty. Ale już po kilku pierwszych stronach, tych z Rumunii, spłakałyśmy się tak, że dalsze czytanie było niemożliwe.** Ułożyłyśmy je tylko chronologicznie według dat.

W lecie trzeba było pokój przemeblować w związku ze ślubem Wojtusia i Małgosi. Wszystkie pamiątki wyjęłam wtedy z regału i nie przeglądając ich spakowałam do dużego kartonu i przeniosłam na dół do swojego pokoju. Czułam stale ich przedziwną moc, która poprzez karton oddziaływała na mnie w niewytłumaczalny sposób. Za życia Mamy w Jej pokoju czuło się zawsze ciekawy, specyficzny zapach, który nie ginął nawet po malowaniu ścian i podłóg. Halinka Szpakówna, która kilkakrotnie odwiedzała Mamę u nas określała to jako po prostu Babcin Zapach.

Wkrótce po ustawieniu kartonu z pamiątkami w swoim pokoju, zaczęłam ten zapach wyczuwać. Pojawiał się w różnych odstępach czasu i z różną intensywnością, ale dość często. Byłam bardzo szczęśliwa, że Mama jest koło mnie. Modliłam się wtedy przez chwilę i rozmawiałam z nią. Nie wspominałabym o tym aby nie być posądzoną o jakieś iluzje, gdyby nie fakt, że Wojtuś przyznał, iż często czuje go na górze w dawnym pokoju Mamy, gdyby nie Hania, która również często czuła Babcię w zapachu i w swoim dawnym mieszkaniu na Husarskiej i w domu na Targowej. A w piąta rocznicę śmierci Mamy tak intensywnie ją wyczuwała, że ustawiła na szafce Jej zdjęcie i zapaliła przed nim znicz. Asiunia przyznała, że też czuła ów zapach w pokoju swego domu na górze, gdzie Mama często przebywała.

Byłam pewna, że Mama czegoś ode mnie oczekuje. Dziś po kilku latach, gdy **moja praca nad jej ukochanymi pamiątkami dobiega końca**, zapach nie pojawia się. **Wiem teraz o co chodziło Mamuńce** i jestem szczęśliwa, że potrafiłam spełnić Jej niemą prośbę.

Nadeszła zima 1992 roku. Pod koniec lutego Staś pojechał z roczną Ole...(?) do Gdyni na cały miesiąc. W tym czasie pewnego dnia gdy byłam sama w domu (Gosia i Wojtek od rana byli w pracy) siedząc w swoim pokoju poczułam Drogi Zapach. Pomodliłam się chwilę i powiedziałam Mamuśce jak bardzo się cieszę, że jest ze mną. Zaraz też uczułam ogromną wewnętrzną potrzebę otwarcia kartonu. Wyłożyłam całą jego zawartość. Ponieważ byłam sama na dole, nie musiałam się spieszyć. Poukładałam wszystko na stołach i dywanach i zaczęłam przeglądać dokładnie. Najpierw korespondencja. Spakowałam oddzielnie listy od Taty, od wnuczek, od przyjaciół, opatrzyłam komentarzem i schowałam do swojego regału. I tak po kolei miałam w rękach każdy, najdrobniejszy nawet paperek. Wśród cennych pamiątek osobistych było też wiele różnych wyników badań, pokwitowań itp. Wszystko czego dotyczyły ręce Mamuśki, a nie stanowiło wartości pamiątki paliłam w kominku, a wiosną popiół ten rozrzuciłam w ogródku. Zdjęcia były umieszczone w kilku pudełkach. Na razie nie rozpakowywałam ich. Po tygodniu pracy wszystkie pamiątki popakowane w oddzielnych torebkach znalazły się w moim regale. Okazało się, że był to zaledwie początek kilkuletniej pracy.

Sławice pamiętam od dzieciństwa

W latach okupacji niemieckiej i kilku powojennych chodziłam z Mamą piechotą do miejsca, w którym tak pięknie zapisał się w sercach ludzkich mój Pradziadek – **Wojciech Koperski**. Szosy po której obecnie kursują autobusy wtedy nie było. Chodziliśmy skrajem lasu Gawrońca, prawdopodobnie tą samą drogą, o której wspomina **Franciszek Kuler** w swojej Kronice poświęconej Pradziadkowi. Mama tak potrafiła zachwycać się lasem, polami, skowronkami szybującymi wysoko na niebie, że nawet bardziej od samych Sławic zapamiętałam tę drogę. Mama przemierzała ją również bryczką zaprzęzoną w konie jako mała dziewczynka wraz ze swoją Matką **Michaliną z Koperskich Grzegórkową**. Opowiadała mi jak Babunia serdecznie była witana przez gospodarzy sławickich okrzykami: *nasza panienka przyjechała*.

W latach 50-tych te piesze wyprawy już były dla Mamy zbyt męczące, a w 1963 r. ja wyjechałam z Miechowa. Gdy zaczynałam ponownie bywać w **Sławicach** ze Stasiem własnym samochodem, mogiła Pradziadka była bardzo zaniedbana. Solidna płyta z piaskowca osiadła na ziemi i miejscami obrosła mchem. Doczyściliśmy ją według receptury Kuby Kubichy, który studiował archeologię. Następnie w 1991 roku zleciliśmy podniesienie jej do właściwego poziomu miejscowemu kościelnemu. Wykonał to zadanie bez zarzutu. Gdy przyjechaliliśmy na odpust do Sławic w 1992 roku pomyślałam sobie, że pan

Franciszek, który w swojej kronice prosił potomnych o uporządkowanie grobu jest zadowolony. Receptura czyszczenia piaskowca jest następująca: najpierw trzeba dokładnie umyć płytę szczotką ryżową i czystą wodą bez żadnych proszków, płynów i innych chemikaliów. Następnie przygotować roztwór: 1 kg węglanu amonu rozpuścić w 10-ciu litrach wody; nasączyć nim około 1 kg ligniny i obłożyć nią płytę. Okład ten powinien leżeć do 12-tu godzin. Najpierw trzeba było kupić węglan amonu. Oczywiście zajął się tym Staś. Wstępował do wielu sklepów chemicznych aż trafił na ten właściwy. A nie jest to prosta sprawa w Warszawie, gdzie dosłownie nie można zaparkować samochodu. Czasami krąży się kilka razy wokół docelowego miejsca i w końcu parkuje się gdzieś daleko od niego. Potem ja kupiłam szczotkę ryżową, 10-cio litrowe wiadro, grube rękawice gumowe, naszykowałam ścierki do starcia płyty po umyciu. Na wyjazd do Sławic odległych od Pomiechówka około 300 km trzeba było wybrać odpowiedni czas. Wreszcie ruszyliśmy w drogę któregoś piątku 1990 roku. Udaliśmy się prosto do Sławic na cmentarz. Staś przyniósł wodę z pobliskiej rzeczki i wzięliśmy się do pracy. Potem pojechalismy na nocleg do **Kaliny**.



Na zdjęciu widać rodzinę Dąbrowskich: Lubosza (z domu Karpińska) stoi między małżeństwem Marią i Maksymilianem Dąbrowskimi, czyli jej szwagrem i szwagierką (mąż Luboszy, Stanisław, robi to zdjęcie); obok Marii stoi Henryk, a dalej Bonifacy – też szwagrowie; zaś ten chłopiec, to syn Bońka, Andrzej Czesław (jakiś palec Boży musiał wtedy nad nim zaświtać, bo dziś – 20-ego lutego 2016 roku – jest on nauczycielem historii w Gimnazjum w Łowej, tj. gdzieś na pograniczu lubuskiego i dolnośląskiego).

W sobotę znowu do Sławic aby zdjąć ligninę i zmyć płytę. Popołudnie spędziliśmy odwiedzając rodzinę w **Miechowie**. Wieczorem Staś pojechał do Kaliny na noc, a ja zostałam u Zosi. W niedzielę po nabożeństwie odwiedziliśmy cmentarz miechowski i groby rodzinne, a po południu ruszyliśmy w drogę powrotną do domu.

Po tym zabiegu efekt był widoczny, ale nie zadowalający. Pomyślałam wtedy: nasyciona lignina jest odkryta, narażona albo na wysuszenie słońcem, albo zmycie deszczem. To też po podniesieniu i ocementowaniu płyty w 1992 r. powtórzyliśmy czyszczenie, ale płytę obłożoną nasączoną ligniną przykryliśmy folią i obwiązali sznurkiem. Efekt był wspaniały. Dwa lata później czyszczenie powtórzyłam będąc w Miechowie ze Zbyskiem Kruczkim i Alą Słotą. Węglan amonu przywiozłam ze sobą, a inne akcesoria skompletowałam na miejscu. I na razie Kuba twierdzi, że trzeba zrobić długą przerwę – około 20-tu lat. Ale płytę należy zmywać często wodą i szczotką z kurzu i lubiącego ją bardzo mchu.

Kronika pana Kulera

Wracając do roku 1992-go, po Mszy Św. odpustowej odwiedziliśmy rodzinę w Miechowie. U **Zosi Słoty** spotkała mnie wzruszająca niespodzianka. Okazało się, że jej **brat Zbyszek** znalazł w starym, opuszczonym domu swojego dziadka **Stefana Grzegórzki** kronikę pana **Kulera** z dedykacją dla wuja. Biorąc do ręki ten stary zeszyt drżałam wprost z emocji. W tym momencie nie było warunków na dokładne czytanie, ale Zosia pożyczyła mi rękopis. Po powrocie do Pomiechówki chłonięłam nie tylko oczyma, ale całą sobą kartka po kartce. Obraz Sławic z końca XIX wieku i wspaniałego ich gospodarza i opiekuna ubogich – **Wojciecha Koperskiego** stał mi się tak bliski, że wprost widzę oczyma duszy tamte łąki, pola, śpiewające ptaszki, dworek modrzewiowy i Pradziadków oraz czuję atmosferę tamtych czasów.

W tym czasie **Ela Kubicha** odkryła w Skarżysku w domu **Basi Rynkiewiczowej j- Wilczyńskiej** zdjęcie Pradziadka. Na jej prośbę córka Basi, Kinga, zrobiła dwie odbitki i przysłała nam. Postać Pradziadka przybliżyła mi się jeszcze bardziej. Zeszyt Staś dał do skserowania, a rękopis oddałam Zosi. Wczytywałam się wiele razy w te piękne karty historii rodzinnej i wtedy zaświtała mi następująca myśl: **Mama dużo i często, i z wielką miłością, opowiadała o życiu rodzinnym swoich Rodziców w ich ukochanej posiadłości w Miechowie**. Może spróbuję odtworzyć to wszystko co słyszałam i spisać historie następnego pokolenia? Przygotowałam sobie zeszyt i ołówek i zaczęłam od tego, że zapisywałam różne fragmenty – to co w danej chwili przypominałam sobie. Bywało, że zostawiałam garnki na kuchence albo odkurzacz na podłodze, aby natychmiast zapisać to, co w tym momencie odtworzyłam w pamięci. I tak przez kilka miesięcy jedna myśl goniła drugą w różnych nieoczekiwanych porach. Czasami zrywałam się z łóżka i sięgałam po ołówek, czasem biegłam ze sklepu aby zapisać jakąś myśl. A musiałam to zrobić natychmiast, bo zaraz przychodziły inne. Doszło do tego, że nawet gdy jechałam do Warszawy, miałam w torebce przybory do pisania. Potem trzeba było te myśli i zapiski uporządkować i wygładzić stylistycznie. Znowu kilka miesięcy poświęciłam tej pracy. Dlaczego tak długo to trwało? Przede wszystkim musiałam mieć idealną ciszę i spokój, a takich chwil w ciągu dnia było niewiele. Poza tym nie była to praca mechaniczna, lecz uzależniona od jakiegoś natchnienia. W ciągu tych miesięcy Asiunia czytała wszystko na bieżąco, poprawiała pomyłki, których ja nie dostrzegłam, dodawała mi otuchy do dalszej pracy. W końcu udało się. Wczytywałam

się w swoje zapiski wiele razy i nagle przyszła nowa refleksja: a moi Rodzice? Przecież na ten temat sama wiele pamiętam. A poza tym chociaż w życiu tych trzech pokoleń zmieniały się epoki i zwyczaje, jedno pozostało wspólne.

Kiedyś, gdy przywrócono święto 11-listopada, usłyszałam w radio przepiękną audycję wygłoszoną przez księdza. Utożsamiał on religię z patriotyzmem, a ostateczny wniosek zapadł mi głęboko w serce: *kto nie kocha swojej ziemskiej ojczyzny, nie będzie również kochał ojczyzny niebieskiej.*

Przecież te trzy pokolenia moich Przodków miały jednakowo wypisane w sercach hasło: **Bóg, Honor, Ojczyzna**. A gdy do tego dodać wielką życzliwość dla ludzi, to jasno widać, że pomimo zmieniających się warunków życia stanowiły jedną nierozzerwalną całość.

Najtrudniej było mi odtworzyć okres międzywojenny. Tu potrzebowałam wiadomości, których nie znałam – oprócz pobytu Rodziców we Francji. Wspomnienia Mamy z tego okresu były piękne, ale zbyt ogólne i bardziej odzwierciedlały atmosferę, niż podawały fakty. Z pomocą przyszła mi Hanusia, chociaż dzieli nas cały Ocean Atlantycki. I listownie, i telefonicznie, odpowiadała na moje pytania, a ja umiejscawiałam te fakty w czasie i układałam chronologicznie. Sama miałam niespełna cztery lata, gdy wybuchła druga wojna światowa. Z mojego przedwojennego życiorysu zapamiętałam tylko kilka fragmentów. Natomiast wszystko co dotyczyło wojny zarejestrowałam w pamięci w miarę dobrze. A lata powojenne to już moje własne przeżycia.

I tak w 1995 roku ukończyłam pracę nad kroniką trzech pokoleń

W dwa lata później wykorzystując wolne dopisałam fragment z homilii Ojca Świętego o naszych korzeniach.

O Pradziadku Koperskim miałam gotowy materiał dzięki panu Kulerowi. Spisanie życia dziadków Grzegorzaków na podstawie wspomnień Mamy, miało inny charakter emocjonalny. Życie Rodziców w okresie międzywojennym - też inny, i życie Mamy w Miechowie i potem z nami w Nowym Dworze i w Pomiechówku - też zupełnie inny. Ale w jednym i w drugim i w trzecim przypadku ja całkowicie utożsamiam się z przeszłością i Bliskimi, którzy z niej odeszli.

Cioteczna siostra, Ela Kubichowa, też pisze kronikę swej rodziny. Wkłada w to wiele serca. A oto zdanie z jej listu do mnie: *Kochana, to niebywałe, ale ja piszę naprawdę krwią w tamtych miejscach, czasach i zdarzeniach.* A więc nie tylko ja tak czuję. Jest to coś wspaniałego, co trudno wyrazić słowami.

Wydaje mi się, że Mama, która w wieku 39-ciu lat, dosłownie w ciągu jednego dnia, straciła i wspaniałe życie rodzinne, i całe bogactwo materialne, i przez długie lata sama borykała się z życiem, traktowała swoje pamiętniki jako coś wyłącznie swojego. Coś przypominało Jej szczęśliwe czasy i krzepiło ducha w warunkach w jakich się znalazła. Na pewno pragnęła, aby ta przeszłość była znana i szanowana gdy ona odejdzie, ale te refleksje przyszły chyba w późnej starości i nie zostały nam przekazane bezpośrednio. Ja natomiast również karmię się tą strawą duchową z radością, ale już dziś pragnę, aby tak samo karmiły się nią pokolenia, które żyją teraz, i te, które przyjdą po mnie. Dlatego pamiętki ułożone w regale nie dawały mi spokoju. Chciałam dla nich szczególnego, trwałego miejsca. Gdy byliśmy w Miechowie w 1995 roku **zwróciłam się z prośbą do Józia Tabaki o zrobienie kuferka.** Powiedziałam mu: *mogłabym pewnie kupić coś odpowiedniego w cepelii, ale jeśli Ty, Józiu, to zrobisz,*

Ty, którego Mama nazywała Synem, to zawartość tam włożona będzie wciąż żyła dla mnie i potomnych. Józio chętnie przyjął zamówienie i w rok później przywieźliśmy do Pomiechówka piękny kuferek, który wzbudza podziw wszystkich odwiedzających nas. Teraz pamiątki rodzinne mają swoje stałe miejsce.

Pragnę, aby naszą piękną przeszłość poznali wszyscy moi bliscy. Ale nie będę tego robić na siłę.

Do zrozumienia i pokochania swoich korzeni trzeba dorosnąć.

Przeanalizowałam całą liczną rodzinę. Wybrałam dziesięć rodzin – w tym Józia Tabakę oraz jego syna Jurka i synową Małgosię - co do których jestem pewna, że rozumieją i pokochają. Dla nich to Staś dał do skserowania zeszyt-kronikę. I wtedy przyszła inna refleksja: *czy to młodsze pokolenie posiada zdjęcia swoich Przodków?* Na pewno tylko sporadycznie. Otwarłam pudełka ze zdjęciami. Pojedynczych fotografii Dziadków Grzegórków i rodzeństwa Mamy prawie nie było. Są wprawdzie wszyscy uwiecznieni, ale na zdjęciach grupowych. I tu przyszedł z pomocą Staś, nieoceniony w załatwianiu trudnych spraw. Wybrałam odpowiednie zdjęcia, zaznaczyłam, którą osobę chcę powiększyć indywidualnie, i ile razy, i Staś poszedł z tym do jednego z fotografów w Nowym Dworze Mazowieckim. Udało się, a fotograf Waclawek, nie przeczuwając tego, rozpoczął *dzieło wyczarowywania* pięknych i licznych obrazów z przeszłości.

Od dzieciństwa wiedziałam, że **Pradziadek Wojciech pieczętował się herbem Korab**. Ale jak on wygląda? I znowu z pomocą przyszedł Staś. Poszedł do Biblioteki Narodowej i przyniósł mi kserokopię herbu z jego dokładnym opisem. Zaraz też zaniósł do skserowania zdobyty materiał. Herb pomalowałam kredkami według opisu. Teraz na pierwszej stronie każdego egzemplarza kroniki wkleiłam zdjęcie Pradziadka i rysunek z Jego herbem i opisem. Wybrana przeze mnie dziesiątka dostała więc skserowaną kronikę i fotografie 1-go, 2-go i 3-go pokolenia.

Byłam mile zaskoczona, gdy trzy lata później spotkałam u Zbyszka Kruczka Andrzeja Kopanka – syna ciotecznej siostry Gabrieli z Grzegórków - i dowiedziałam się, że pożyczył on od niego kronikę i dał do skserowania, aby ją mieć dla siebie. Pojechał wtedy z nami do Sławic na Mszę Św. i grób Pradziadka Wojciecha.

Teraz zainteresowałam się zdjęciami. Wielu z nich nie widziałam wcześniej. Prawdziwym wstrząsem emocjonalnym było dla mnie zdjęcie Mamy, 13-to lub 14-letniej dziewczynki, z piękną dedykacją dla Taty na odwrocie. Takich zdjęć z dedykacjami Mamy dla Taty i swojej **chrzestnej matki (była nią prawdopodobnie Zofia z Koperskich Majcherczykowa)** było więcej. Szczęście, że Mama kiedyś pokazała mi kilka dawnych fotografii i powiedziała kogo przedstawiają, a ja to sobie opisałam. Pozostało jednak wiele, których nie potrafię zidentyfikować. Może zrobi to Hanusia gdy wróci z Canady.

I tak nieustannie oglądając zdjęcia ocalałe z pogromu wojennego – i te z czasów okupacji i te późniejsze – wpadłam na nowy pomysł. Kiedyś wklejało się fotografie do albumów. W małym domku w Miechowie był album, który Mama pięknie zagospodarowała, ale potem z nieznanymi mi powodów, wiele kart i zdjęć wycięła. Ja, też już jako mężatka, kupowałam albumy i wklejałam robione przez nas zdjęcia. Z tego okresu zachował się album, który wyjątkowo mi się podobał, ale nie doczekał się zagospodarowania. I całe szczęście! Bo zapragnęłam zrobić ilustrację fotograficzną kroniki i ten album wspaniale mi do tego pasował. Podzieliłam się tą myślą z Asiunią, a ona pokazała

mi stary album z Książa, gdzie wklejone zdjęcia były podpisane i ozdobione białym tuszem. Postanowiłam również wykorzystać biały tusz do opisywania zdjęć w swoim albumie.

Teraz zaczęłam wybierać fotografie, które odpowiadały kronice tematycznie. Oczywiście nie mogłam wklejać do albumu zdjęć podpisanych na odwrocie przez Mamę i inne bliskie mi osoby. Poza tym podejrzewałam i - jak się okazało – słusznie, że ktoś z rodziny chciałby mieć niektóre fotografie. Nowa seria poszła więc do zakładu z prośbą o kilkakrotne odbicie. I tak przez kilka miesięcy fotograf nowodworski odbijał, i odbijał. Robił również klisze z tych odbitek, tak, że gdyby ktoś w przyszłości chciałby mieć dane zdjęcie u siebie, to nie będzie problemu.

Zawsze gdy oddawałam zdjęcia do zakładu byłam niespokojna o nie, chociaż nie miałam żadnych podstaw do jakichkolwiek obaw. Ale prawdziwy szok przeżyłam w lecie 1997 roku, kiedy

Polskę i kraje sąsiednie nawiedziła katastrofalna powódź

Wtedy u fotografa było to zdjęcie Mamy, które wzbudziło we mnie tak wiele emocji. W oznaczonym dniu Staś poszedł po odbiór i co się okazało? Narew koło Nowego Dworu poważnie przybrała i ogłoszono stan alarmowy. Fotograf przygotowywał się do ewentualnej ewakuacji i miał wszystko spakowane. Nigdy nie zapomnę dni, które nastąpiły potem. Zamiast posiłków łykałam neospazminę. Na szczęście po trzech dniach alarm odwołano i zdjęcie wraz z zamówionymi odbitkami wróciło do mnie.

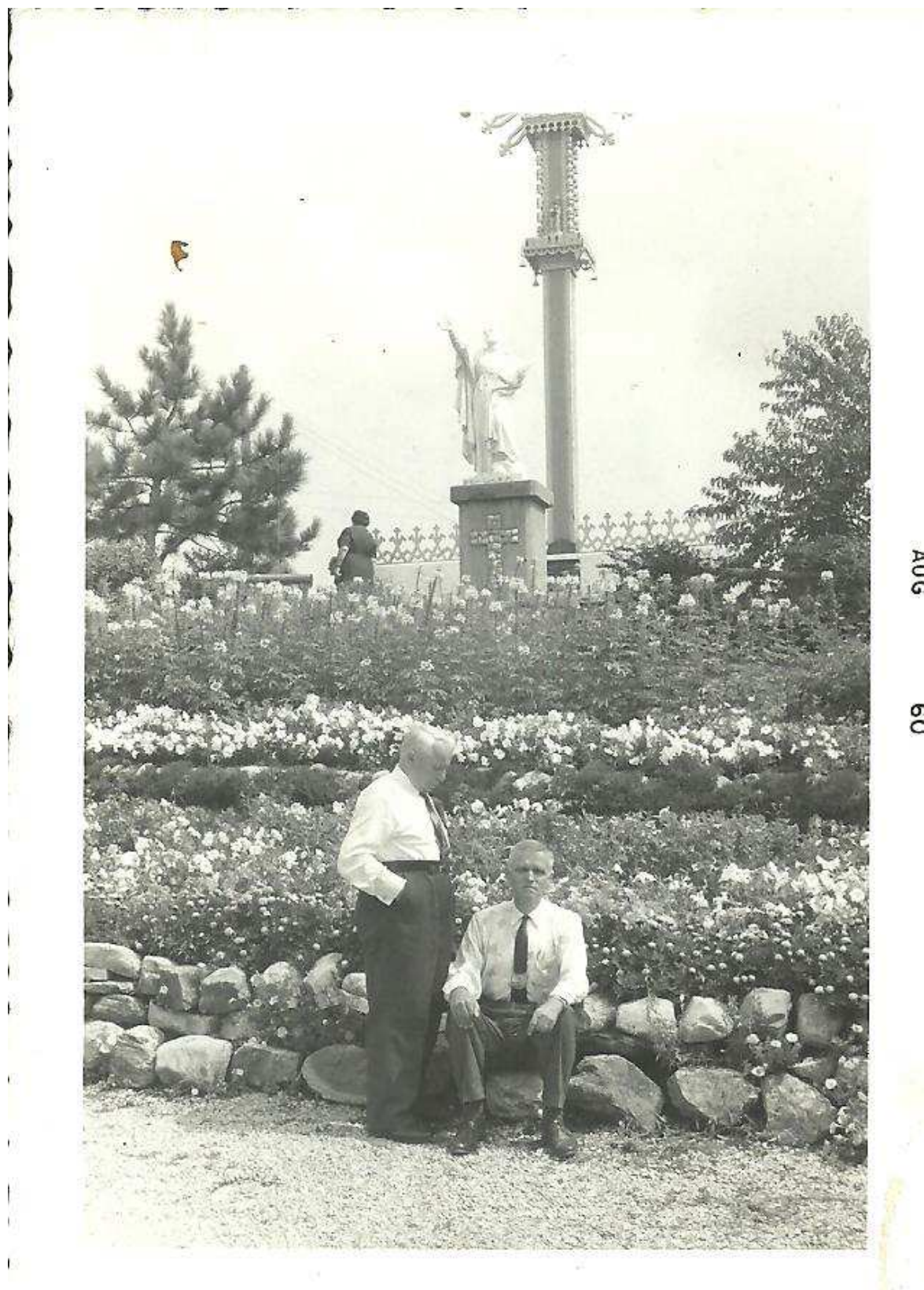
Najwięcej problemów stwarzały czarno-białe negatywy. Ocalało ich sporo, ale niektóre nie miały pokrycia w zdjęciach. Trzeba było je wywołać, a współczesna technika nie jest do tego dostosowana. Pan Wacławek, któremu dawaliśmy dobrze zarobić, nie śmiał odmówić i kilka klisz wywołał, ale w końcu miał dosyć. A chodziło już o ostatnią. Gdyby o tym wiedział, może by się jeszcze poświęcił do tej pracy, ale Staś poczuł się dotknięty odmowa i zaczął szukać fotografa w Warszawie. Po wielu nieudanych podejściach klisza została wreszcie wywołana, a Staś wrócił z zamówieniami do zakładu w Nowym Dworze. W latach 70-tych Staś, na prośbę Mamy, dawał niektóre zdjęcia do odbijania i powiększania do rozmiarów portretu. Kilka negatywów czarno-białych też wtedy wywołano. Ale wówczas nie stanowiło to problemu.

Do pracy nad zdjęciami potrzebowałam takiej samej ciszy i spokoju jak podczas pisania kroniki. Dlatego znów mijały miesiące zanim jakiś efekt był widoczny. Wybranie fotografii związanych tematycznie z kroniką wymagało głębokiego przemyślenia. Jak już wspomniałam mogłam pracować tylko w idealnej ciszy i spokoju, a do tego trzeba było przecież wykonywać codzienne obowiązki.



Major Stanisław Dąbrowski, czyli Staś - mąż Luboszy.

Czasem jakiś dzień wypadał w związku z wyjazdem poza Pomiechówek w jakiejś sprawie. Dlatego tak długo to trwało, zaczęłam ze zdjęć układanych ciągle na nowo na całej długości i szerokości stołu wybrać wreszcie właściwe. Potem zaczęły się przymiarki. Układałam zdjęcia w albumie (oczywiście bez przyklejania) wiele, wiele razy. Przez kilka tygodni zastanawiałam się i zmieniałam wcześniejsze pomysły. Wreszcie zaczęło się przyklejanie. Najpierw posługiwałam się zwykłym klejem do papieru. Potem Asiunia powiedziała mi o kleju introligatorskim. Był rzeczywiście znacznie lepszy. Ta mechaniczna na pozór praca też trwała długo, bo w ciągu dnia mogłam wkleić, obciążyć i wysuszyć najwyżej trzy strony albumu. Zajęty był do tego cały stół w pokoju, dlatego po południu kończyłam pracę. Gdy wklejanie zdjęć było na ukończeniu, Staś kupił mi biały tusz i pióro ze stalówką redis. Planowałam zdjęcia otoczyć białą ramką i opisać je po drugiej stronie tym samym tuszem. Najpierw robiłam próbę na starym, pociętym albumie. Biały tusz nie zostawiał najmniejszych śladów. Mając



Midland w Kanadzie, 21 sierpnia 1960 r. Siedzi Józef Broda.

przed oczyma stary album z Książa, zdumiona i zmartwiona przyłożyłam linijkę do jednego z wklejonych zdjęć i próbowałam zrobić kreskę. Z takim samym rezultatem. Staś kupił mi wobec tego zwykłą stalówkę. Skutek był taki sam. Jakbym stalówkę maczała w wodzie, a nie w tuszu. Następnie były próby z korektorem. Niestety z takim samym rezultatem. Skoro nie mogłam zrobić nawet kreski, o pisaniu nie było co marzyć. Posłużyłam się więc zwykłą białą kredką ołówkową do zrobienia ramek wokół zdjęć. Każde też zostało opatrzone numerem wypisanym tą samą kredką, a drugą stronę albumu przeznaczyłam na opisy. Opisywałam zdjęcia według numerów na białym papierze atramentem i karty te przyklejałam. I właściwie dobrze się stało, bo chodziło nie tylko o opisanie zdjęć.

W trakcie pisania kroniki niektóre fakty umknęły mojej uwadze, a naprowadziły mnie na nie dopiero zdjęcia.

Uzupełniłam więc kronikę dopisując te wydarzenia w albumie

Na przykład wklejając zdjęcie Babuni Marii Brody pomyślałam, że powinnam napisać więcej o całej rodzinie, a miałam do tego pewny materiał na podstawie książeczek wydawanych w Canadzie przez biblioteczkę kieszonkową, które przysyłał nam wujek Józef Broda – ich autor.

Albo wklejając zdjęcie dr Jadwigi Danysz (?) i jej dworku zwanego Doktorówką, pomyślałam, że trzeba wspomnieć więcej o tej wzruszającej postaci i lekarce z powołania. Zaraz to uzupełniłam w albumie.

Gdy zamawiałam Mszę Św. w Sławicach z okazji 100-letniej rocznicy śmierci Pradziadka Wojciecha, ksiądz proboszcz Jan Nowak pokazał mi przepięknie prowadzoną przez siebie kronikę parafialną, która rozpoczynała się od historii Sławic. Postanowiłam wtedy przy zdjęciach z tej serii wkleić wycinek z gazety *Gość Niedzielny*, którą dostałam od księdza proboszcza Sławickiego oraz opisać w skrócie historię tej miejscowości. A te opisy nie zmieściłyby się absolutnie, gdybym pisała bezpośrednio w albumie białym tuszem czy korektorem. Na odpisanie historii Sławic z kroniki parafialnej, którą tak pięknie prowadził ksiądz kanonik Nowak, musiałam czekać na odpowiednią porę. Udało mi się to w 1998 roku, gdy jak zwykle pojechaliliśmy na uroczystości odpustowe w dniu św. Wojciecha, patrona kościoła i parafii. Ksiądz pozostawił mnie w kancelarii ze swoją kroniką, ale najpierw pokazał mi wpis o uroczystości z zamawianej przeze mnie rok wcześniej Mszy Św. Wtedy Staś zrobił kilka zdjęć rodziny wraz z księdzem. Zaraz po ich wywołaniu wysłałam księdzu list z podziękowaniem w imieniu rodziny za piękną uroczystość oraz zdjęcia. A zamawiając Mszę Św. ofiarowałam pocziwemu staruszkowi fotografię Pradziadka i kserokopię kroniki Franciszka Kulera. Wydarzenie to zostało opisane w kronice parafialnej, wklejone zostały zdjęcia i mój list w całości.

Wracając do historii Sławic, odpisałam ją w skrócie w ciągu godziny. Rozpoczyna się ona fragmentem opisu pana Kulera. Jak się dowiedziałam z kroniki parafialnej, rękopis ten znajduje się w Bibliotece Jagiellońskiej.

Po powrocie do domu uporządkowałam swoje notatki, przepisałam na biały papier i wkleiłam do albumu. Była to już ostatnia brakująca pozycja.

Album – ilustracja fotograficzna kroniki – został więc wykończony ostatecznie na wiosnę 1998 roku.

Włożyłam go do kuferka i na kilka miesięcy oddałam się pracy w ogródku. Bardzo ją lubię. Jest dla mnie wspaniałym relaksem, no i służy zdrowiu. A świadomość tego, że **kronika z albumem jest na swoim miejscu w kuferku** i w każdej chwili mogę się zagłębić w tę Drogą Przeszłość, dodawała mi siły i przysparzała radości codziennej.

Minęło lato i złota jesień polska. Zmieniono czas na zimowy i zaczęły się długie, często dżdżyste wieczory. Uwielbiam je. Najpierw obserwuję zmierzch, który tak pięknie opisała Ania z Zielonego Wzgórza: *ależ to nie jest ciemność. To zmierzch... mrok i światło splotły się w miłosnym uścisku i zmierzch jest przepięknym tego owocem.* Potem zapalam światło, siadam w ulubionym fotelu koło kominka i czytam, szydełkuję, oglądam telewizję lub snuję marzenia.

W takim to nastroju zrodziły się nowe pomysły. Postanowiłam ułożyć w albumie dawne zdjęcia poczynawszy od najstarszych. Staś kupił taki album jakie dziś sprzedają. Włożyłam kilka zdjęć między kieszonki foliowe i natychmiast wyjęłam. Te zdjęcia, w tym albumie, to jak mickiewiczowski *zgrzyt żelaza po szkle, który przejął wszystkich dreszczem.* Zaczęło się szukanie albumu do wklejania. Nieceniony Staś przemierzył w tym celu Warszawę – bez rezultatu. Takich albumów teraz nie produkuje się. Asiunia poradziła, aby zapytać w cepelii. Skutek był taki sam. W jednej tylko powiedziano, że może za miesiąc dostawca przywiezie coś takiego za cenę 500 zł. Gotowa byłam zapłacić tę sumę, byle tylko zdobyć właściwy album.

W międzyczasie zaczęłam przeglądać

album, który Tata przysłał z USA

Sporo zdjęć robionych przez siebie wkleiłam osobiście. Było jednak kilka stron pustych. Nakleiłam na nie fotografie przesyłane przez Tatę, wewnętrzną stronę okładki opatrzyłam komentarzem i schowałam do kuferka.

Oczekując na zdobycie albumu zaczęłam układać stare zdjęcia. Najpierw te, które na odwrocie były podpisane i opisane przez Mamę i inne drogie mi osoby z rodziny. Porównywałam pismo Mamy z 1917-go lub 18-go roku do późniejszego. Wpatrywałam się w pismo cioci Heleny, której nigdy nie widziałam, i cioci Józi, którą słabo pamiętam. Byłam trochę zaskoczona, że ciocia Antosia tak kształtnie pisała. Pismo Babuni Michaliny mam nie tylko na odwrocie zdjęcia, które – sądząc po wieku najmłodszych dzieci: Jasi i Stasia – musiało być robione około 1913 roku. Babunia ofiarowała mi je w 1943 roku jako prezent od chrztu i pierwszej Komunii Św. (przepiękna książka do nabożeństwa z dedykacją dla mnie). Książka ta należała do **Prababci Anny Koperskiej**, której inicjały są widoczne na okładce ułożonej w mozaikę koralików. Potem dostała ją córka Prababci Anny, a moja **Babcia Michalina Grzegórkowa**. No i miałam niesłychane szczęście, że spośród bardzo licznej rodziny odziedziczyłam ją ja. Jest ułożona w kuferku. **Często modłę się według jej starych, głębokich rozważań. Czuję się wtedy tak, jakbym siedziała przy kominku w dworku modrzewiowym w Sławicach przytulona do Prababci Anny, chociaż to nie ona była panią na Sławicach. Prababcia Katarzyna jest mi również bardzo droga. Razem z Pradziadkiem Wojciechem opiekowała się**

ubogimi i dawała przykład pobożności. A po jego śmierci ufundowała na cmentarzu sławickim płytę z piaskowca. Dzięki temu już 5-te pokolenie rodziny może składać hołd Pradziadkowi – wielkiemu patriocie, miłośnikowi polskiej ziemi, przyjacielowi ubogich.

Wracając do zdjęć, oczywiste jest, że nie mogą być wklejone te z opisami na odwrocie. Przeznaczyłam na nie małe albumiki reklamowe firmy fotograficznej. Na okładki planuję uszyć pokrowiec z płótna lnianego i wyhaftować. Tak aby nadać im charakter dawnych lat. Teraz jest wiosna 1999 roku. Gdy nadejdą długie wieczory zimowe, znów atmosfera kominka podsunie mi pomysły.

Młyn wujostwa Majcherczyków w Siedliskach nad Cichą

Radością graniczącą z szokiem zachwytu było zdjęcie, które przysłała mi **Marta z Majcherczyków Śladowska**. Jej babcia – Zosia z Koperskich Majcherczykowa była siostrą Michaliny Grzegórkowej. Zdjęcie, które od niej dostałam przedstawia Zofię z mężem Stanisławem siedzących, a stoją: w środku Babunia Michalina (młoda wówczas dziewczyna), jej bracia i siostry. Zaczynam ułożyć je do kuferka, przez kilka dni wpatrywałam się nieustannie w to drugie pokolenie Koperskich z uczuciem niewypowiedzianego szczęścia.

Gdy wyjechałam z Miechowa zaabsorbowana własnym gospodarstwem i małymi dziećmi, nie myślałam wiele o wujach Majcherczykach i ich młynie. Ale potem często wracałam do wspomnień z dzieciństwa i nie raz przymierzałam się będąc w Miechowie, do zrobienia wycieczki do Siedlik i sprawdzenia, czy tam ktoś mieszka, i – ewentualnie – kto?

W 1996 roku byłam u **Basi i Andrzeja Zakrzewskich** (syn i synowa ciotecznej siostry **Krystyny z Grzegórków**). Zupełnie przypadkowo w rozmowie Basia powiedziała, że Marta z Majcherczyków to jej koleżanka, i że mieszka w starym domu rodziców. Poderwałam się z wersalki, wyściskałam Basię i ruszyłyśmy w drogę. Teraz ta część Siedlik jest administracyjnie przyłączona do Miechowa, a polna droga, która pamiętam z dawnych lat, zmieniła się w asfaltową szosę. Marty nie zastaliśmy w domu. Przedstawiłam się jej mężowi i zapowiedziałam ponowną wizytę. Kilka miesięcy później byłam znów w Miechowie. Poszłam do młyna sama z *duszą na ramieniu*, jak też ta Marta wygląda i jak mnie przyjmie. Znowu nie było jej w domu. Porozmawiałam więc ze Stasiem – jej mężem, a w międzyczasie przyszła sama gospodyni. Spytałam: jesteś córką Adama? Tak – odpowiedziała. Ja na to: nasze babcie były rodzonymi siostrami. Padłyśmy sobie w objęcia i po trzech godzinach rozstawałyśmy się z trudem. Marta jest ode mnie młodsza o dziesięć lat. Była najmłodszym dzieckiem wuja Adama i cioci Sylwii, i okazało się, że to ją zapamiętałam z dzieciństwa jako niemowlę, które pokarm przyjmowało tylko karmione łyżeczką. **Stary, zniszczony młyn jest przeznaczony do rozbiórki, a dom Marta ze Staszkiem remontują.**

Franciszek Broda – młodociany legionista

Zdjęcia z podpisami Bliskich włożyłam już do albumów reklamowych, a okładki będę zdobić zimą. Ze starego albumu miechowskiego, który był w rozsypce wyciągnęłam fotografie. Dotyczyły one okresu przedwojennego i okupacji niemieckiej. Niektóre z nich powstawał Staś na prośbę Mamy. Z wielu odbitek, które ja robiłam, było też sporo powtarzających się. Należało je najpierw posegregować. Wszystkie ułożyłam na stole ciasno, jedno obok drugiego (inaczej nie mieściły się) i zaczęłam układać. Osobno powtarzające się, przedwojenne jeszcze niezidentyfikowane, okupacyjne, powojenne. Potem



F. Broda zaciągnął się do Legionów latem 1915 r. w punkcie werbunkowym w Miechowie, wbrew opinii rodziców (miał wówczas 17 lat), po czym jedzie do Kielc. "Franciszek Broda służył w 4 pułku piechoty płk. Bolesława Roji, wchodzącego w skład III Brygady podległej Józefowi Hallerowi, która walczyła na Wołyniu i nad Styrem." (cytat za: Stefan S. Tondosa "Miechów i okolice", Kraków 1994). Po kryzysie przysięgowym internowany, skąd ucieka, wraca do rodzinnej miejscowości i do szkoły, równocześnie w Kalinie Małej organizuje oddział POW. Zginął w wojnie 1920 r. prawdopodobnie w czasie walk obronnych na linii rzek Uborć i Słucz; był w stopniu kapitana. Otrzymał Krzyż Niepodległości.

z powtarzających się oddzieliłam: najstarsze Dziadkowie, Rodzice, Ciocie i Wujkowie oraz przedwojenne. Było więc sześć oddzielnych torebek, oczywiście jako miejsce na przechowywanie zdjęć. Teraz z każdej torebki wybrałam oryginały, albo wywołane z czarno-białych negatywów w ostateczności odbitki. Były one przeznaczone do wklejenia w nieistniejącym na razie albumie. **Od rodziny Dąbrowskich pozbierałam zdjęcia Stasia z lat 50-tych. Innych nie zdobyłam. A Irena Kaszubowska z Brodów przysłała mi trzy wspaniałe oryginały: Franciszek Broda – młodziak legionista i jego żona Maria** (pomyłka – nie Maria, lecz Franciszka; Maria miała na imię ich córka – przypis mój, to jest przepisujący ten tekst) **z Kępińskich z 1918 roku oraz ślubne zdjęcia swoich rodziców: Juliana i Feliksy Brodów z 1936 roku. Dwa pierwsze oryginały mogłam zatrzymać; z trzeciego pozostała mi tylko odbitka. Oryginały musiałam odesłać.**

Na tej pracy upłynęły mi jesienne miesiące 1998 roku. W tym czasie Staś, będąc u naszego fotografa w Nowym Dworze, zauważył album, którego tak długo szukał. Kupił go za cenę 80-ciu złotych. Zaraz zdjęcia z torebek przełożyłam do kopert, podpisałam je, włożyłam do drewnianej kasety i schowałam do kuferka. Przeznaczone zaś do wklejania zaczęłam przymierzać w albumie. Najpierw trzeba było sprawdzić, czy zmieszczą się wszystkie. Album jest jaśniutki – coś na pograniczu jasnego beżu z kremowym. Taki sam kolor mają karty do wklejania zdjęć. Asiunia poradziła mi, abym do opisywania zdjęć użyła czarnego atramentu, który Staś zaraz mi kupił. Gdy stwierdziłam, że zdjęcia zmieszczą się spokojnie, zaczęłam planować kolejność wklejania. Pierwszą stronę zostawiłam na komentarz. Dalsze zajęły zdjęcia najstarsze i w wykonaniu, i w osobach, które przedstawiają. Dalej poszło trzecie pokolenie Bliskich. Był to już okres międzywojenny (kolejne fotografie z tego okresu to: Rodzice, **jedyna siostra Hanusia**, wujenki, ciocie i wujowie, znajomi i przyjaciele, zdjęcia robione w Warszawie najczęściej w Parku Łazienkowskim i na wakacjach w Miechowie. Następnie rodzina Majcherczyków, wspólne zdjęcia z rodziną państwa Rokickich (?), **kilka z Rodziny Brodów**. Dalej niezidentyfikowane przeze mnie, a dotyczące na pewno okresu międzywojennego. Następnie zdjęcia z okupacji robione najczęściej w naszym ogrodzie, chociaż niektóre na wycieczkach w Tunelu, w Komorowie, w Książu Wielkim, w Siedliskach nad rzeczką Cichą, koło młyna.

Te fotografie były wycięte ze starego albumu. Niektóre odklejały się łatwo od starego podłoża, niektóre tylko częściowo. Ale wszystkie przyklejały się dobrze w nowym albumie.

Potem poszły zdjęcia z pierwszych lat powojennych. Potem Stasia, które dostałam od jego braci oraz sami bracia Dąbrowscy. Dalej rodzina z lat 50-tych. Zostało jeszcze kilka stron wolnych. Ponieważ zaczęłam tę pracę od pamiątek Mamy i to ona była myślą przewodnią w dalszych moich poczynaniach, postanowiłam te ostatnie strony poświęcić jej. Są na nich umieszczone zdjęcia z pobytu Mamy w sanatorium i z okresu gdy mieszkaliśmy w Nowym Dworze Mazowieckim. A potem 80-te, 85-te urodziny Mamy, Mama w wieku 88-miu lat i w ostatnich dniach życia. Była wtedy u nas Jej najstarsza prawnuczka Agnieszka i to ona wpadła na pomysł, aby nagrać na kasetę głos Mamy i zabrać do Canady. Kasetę tę przegraliśmy i przechowujemy ją w kuferku. Następna strona zajęły krajobrazy z miejsc, w których Mama bywała i mieszkała najdłużej; domek miechowski, którego nigdy nie zapomnę ja i moje dzieci.

Tam Mama nauczyła mnie kochać ludzi i przyrodę

pomagać każdemu w potrzebie, cieszyć się cudami przyrody, które widzi się na co dzień wokół siebie; podziwiać i karmić ptaszki. I stawiać zawsze na drugim miejscu pieniądze. Gdy **urodzyli się nasze dzieci, Hania i Wojtuś**, Mama przyjeżdżała do nas na zimowe miesiące. W tym czasie domkiem opiekowała się ciocia Jasia, a **ogród utulał do snu śnieg**. Wczesną wiosną Mama odjeżdżała do Miechowa. Gdy dzieci miały po kilka lat, zabierała je ze sobą, a ja przyjeżdżałam na wakacje. Hania pamięta, jak chorowała w Miechowie i Mama, aby ją rozweselić, przynosiła do domu małe kozłatka; wesole, swawolne i przemiłe stworzonka. **Wojtuś powiedział kiedyś, że najpiękniejsze wspomnienia z dzieciństwa kojarzą mu się z Miechowem i Babunią Lolą.**

I na zakończenie wklejania ulubiona widokówka Mamy, którą zawsze miała koło siebie na widocznym miejscu, z moim komentarzem.

Wklejanie zdjęć to jest już powolny proces, bo trzeba każdą stronę obciążyć i wysuszyć, a do tego postanowiłam ozdabiać wklejone fotografie na wzór albumu z Książa. Po doświadczeniach z białym tuszem w wielkim napięciu stawiałam małą, czarną kropeczkę w rogu albumu na okładce. Wyglądało na to, że nie będzie problemów z czarnym atramentem. I tak było istotnie. Najpierw trzymałam się kurczowo tamtych wzorów, ale wkrótce zaczęłam wykazywać własną inicjatywę. Gdy byłam uczennicą nieźle szło mi odwzorowywanie. Zaczęłam więc szukać motywów na dywanie, na serwecie zdobiącej ławę, na obrazach ze starego kalendarza i gdzie się dało. **Mama uwielbiała pola obsiane zbożem i ukwiecone polnymi kwiatami, ptaszki, które całe życie dokarmiała ,swoj ogród, w którym honorowe miejsce zajmowały kwiaty; szczególnie aleja prowadząca od głównej drogi, była nimi obsadzona. Szczególną sympatią Mama darzyła tulipany i mietczyki, a z krzewów ozdobno-użytkowych, pigwę. Ten piękny krzew przywieziony z miechowa przez Józia Tabakę zdobi też naszą działkę w Pomiechówku.**

Zdjęcia Mamy wklejane do albumu zdobiłam szkicami kłosów i polnych kwiatów. Natomiast koło fotografii domku postanowiłam narysować drzewo i siedzące na nim ptaszki. Wzoru użyczyła mi Asiunia. Odwzorowałam podobny rysunek z jej atlasu o ptakach w Europie. Miałam problemy z mietczykiem, którego chciałam umieścić koło zdjęcia Mamy z Jej 80-tych urodzin. Również poratowała mnie Asiunia pożyczając broszurkę o hodowli mietczyków, gdzie były ich piękne fotografie. Po wklejeniu zdjęć na kilku kartach, najpierw wybrany motyw trochę zmieniałam dostosowując go do miejsca w albumie. Potem szkicowałam go sobie na brudno i wreszcie rysowałam w albumie od razu atramentem. Dodając do tego codzienne obowiązki w domu mogłam opracować jedną, czasem dwie strony dziennie. Nie więcej. Dlatego praca nad tym albumem trwała całą zimę 1998/9 oraz wiosnę 1999 roku. **W tej chwili jest kwiecień**, a ja mam jeszcze kilka stron do wykończenia. Po pięknych, wczesnych i wiosennych Świątach Wielkanocnych zaczęły się chłodne, deszczowe dni. Mam więc nadzieję, że wykończę tej wiosny zdobienie albumu. Faktycznie do 28-go kwietnia album ze starymi zdjęciami był prawie wykończony. Pozostało tylko zrobienie fotografii z Parku Łazienkowskiego i z Miechowa oraz próba identyfikacji nieznanych mi zdjęć przez Hanusię, no i wyhaftowanie okładek na albumiki reklamowe.

Tymczasem 29-go kwietnia o godz. 6.25, przechodząc do swojego pokoju koło kuferka, poczułam zapach Mamy. Z niewypowiedzianą radością pomodliłam się i podziękowałam jej za obecność koło mnie. Zaraz też zadzwoniłam do Asiuni i podzieliłam się z nią radosną wiadomością. Asiunia twierdzi,

że **to podziękowanie Mamy za opiekę nad jej pamiątkami**, a ja nie czuję się godna takiego podziękowania. Ale najważniejsze, że Mama jest wśród nas.

Od 3-go do 7-go czerwca 1999 roku byłam w Miechowie. Bawiłam u Zosi Słoty, a całe dnie spędzałam na odwiedzaniu przyjaciół i drogich mi miejsc. Jako brakujące zdjęcie do albumu planowałam **sfotografować pole zbożowe ukwiecone makami**. W Kocich Dołach takiego łąnu nie było, a tam gdzie kiedyś falowało zboże jest zbudowane osiedle pod nazwą gen. Sikorskiego. Ale idąc do Józia zauważyłam łąkę maków koło jego domu. To miejsce postanowiłam uwiecznić wraz z Józiem i jego kózką. Przyszedł również Jurek i Tomek – jego syn i wnuk. Wspólnie zrobiliśmy kilka zdjęć. Potem idąc do Marty Śladowskiej stanęłam zachwycona: koło mnie rozciągał się duży łąn zielonego jeszcze zboża z mnóstwem maków. Wyjęłam z torebki aparat i uwieczniłam to miejsce. Zdjęcia wyszły śliczne. Chciałoby się wszystkie umieścić w albumie, ale muszę wybrać jedno.

I wtedy zrodził się nowy pomysł

Mam z dziecinnych lat mały albumik. Przeznaczę go na zdjęcia z Miechowa. Ukochanego miasta, które odwiedzał Pradziadek Koperski, w którym Dziadkowie Grzegórzki założyli swoje gniazdo, gdzie Mama urodziła się, wychowała; poznała Tatę. Miasto, w którym spędziłam dzieciństwo i młodość i byłam bezgranicznie szczęśliwa. Muszę w tym celu zrobić jeszcze trochę zdjęć.

Tymczasem 10-tego czerwca poczułam Zapach Mamy w swoim pokoju. 13-tego w niedzielę czułam jej obecność w zapachu cały dzień ilekroć wchodziłam do pokoju. Zapach pojawił się znowu 16-tego 20-tego czerwca. Boże Mój! Co za szczęście. Mama jest nadal wśród nas i swoich pamiątek. Mama nie opuszczała mnie w miesiące letnie, chociaż w tym czasie nie pracowałam nad pamiątkami, lecz robiłam przetwory na zimę, pielęgnowałam ogródek. Czułam Jej Zapach 1-ego 15-tego lipca oraz 27-tego sierpnia o godz. 21.00 kiedy kładłam się spać.

Bardzo mi odpowiada nasz klimat. Każda pora roku ukazuje inne cuda i wprowadza w inny nastrój. Ale tegoroczne upalne lato, suche i pełne komarów było męczące. Tym bardziej tęskniłam do pracy z pamiątkami. Wrzesień był przepięknym przedłużeniem lata.. Ciepło, ale nie upalnie. Zebrałam w tym pięknym miesiącu wszystkie plody z mojego ogródka. Ziemia była tak twarda, że nie dało się kopać normalnie. **Posłużyłam się hakiem Mamy** przywiezionym z Miechowa. Jest to coś w rodzaju wygiętych wideł. We wrześniu trzy razy pokropił deszcz. Wtedy brałam hak, wbijałam go w ziemię z ogromnym rozmachem i podważałam zagarniętą skibę. W taki sposób udało mi się skopać ogródek na zimę. W październiku było jeszcze sporo prac porządkowych na mojej działce. Pod koniec tego miesiąca byliśmy w Miechowie i robiłam trochę zdjęć do planowanego małego albumu. I wtedy przyszło mi na myśl, aby rozszerzyć go o fotografie z innych miejscowości związanych z Mamą.

W listopadzie wykończyłam zdobienie albumu ze starymi zdjęciami. Ponieważ Hanusia nie przyjechała i nie wiem kiedy to nastąpi, nieznane mi zdjęcia podpisałam ogólnie: dwudziestolecie międzywojenne.

Dalszą pracę uniemożliwiła mi choroba. Gdy na początku stycznia 2000 roku poczułam się lepiej, zaczęłam od zrobienia okładek albumów reklamowych. Przeceniłam jednak swoje możliwości co do haftowania. Wprawdzie rosłam w czasach, gdy małe dziewczynki uczono szycia, haftu, robótek szydełkowych i na drutach!... Te ostatnie umiejętności lubiłam i doskonaliłam przez całe lata. Szycie natomiast i haft nigdy nie były moją mocną stroną. Wpadłam więc na inny pomysł. Mam sześć

serwetek, których nigdy nie używam ze względu na masywne, niewygodne dekoracje. Dostałam je od Wojtka, jedyne go wnuka Mamuśki. Postanowiłam z nich uszyć okładki na albumiki. Mam dużo nici, guzików, suwaków itp., zgromadzonych jeszcze przez Mamę. Gdy zaczęłam szyć i okazało się, że jedna z dużych szpilek nici z Jej zbiorów ma identyczny kolor ze ściegami na serwetkach, ze wzruszeniem poczułam, że Mama akceptuje takie rozwiązanie. Okładki były gotowe na dzień 7-mego stycznia 2000 roku.

Teraz czekała mnie introligatorska praca z małym albumem. Zdjęcia do niego mam już skompletowane, ale nie mogę wklejać ich na bardzo zniszczone karty. I po raz kolejny okazało się, że stare albumy mogą być kiedyś potrzebne. Dawno, przed laty nasze dzieci bawiły się w wklejanie zdjęć. Ale zabawa szybko się skończyła i pozostał po niej album ze zniszczoną okładką i kilku kartami bezużytecznymi. Postanowiłam go teraz wykorzystać. Z małego albumiku praktycznie pozostały tylko drewniane okładki. Wnętrze jego zaczęłam wypełniać kartami z tego zniszczonego albumu. Zdjęłam ze stołu koronkową serwetę i kryształowy wazon, nakryłam go dużym arkuszem papieru i ułożyłam na nim moje akcesoria introligatorskie: klej, nożyczki, ołówek i linijkę. Każdą stronę musiałam starannie odmierzyć i obrysować, wyciąć i przykleić podkładki wraz z cienkim papierem – również wyciętym ze starego albumu – chroniącym zdjęcia. Zajął mi to sporo czasu.

Następna czynność to zrobienie otworów aby związać album. W tym celu starą podkładkę z otworami przykładałam do każdej strony oddzielnie, białą kredą ołówkowa zaznaczam otwory według niej, a potem posługiwałam się dziurkaczem. Problemem okazało się zdobycie rzemyka do związania albumu. Niby błaża sprawa, a jednak nie udało się go kupić. Ale Staś i z tym uporał się szybko. Dostał rzemik od koleżanki z pracy. Kiedyś zawieszony był na nim wisiołek, który się posuwał. Zaraz przewlekłam okładki i karty albumu, a Staś związał go osobiście w obecności Asiuni, która właśnie przyszła na kawę.

Potem rozpoczęłam wklejanie zdjęć. Karty albumu numerowałam białą kredką ołówkową, a następnie opisałam zdjęcia na oddzielnym białym papierze, który przykleiłam na okładce na końcu. Drewniane okładki są trochę podniszczone, ale wezmę albumik do Miechowa i Józio go odnowi. Tymczasem znalazł on swoje miejsce w kuferku. Był to koniec stycznia 2000 roku.

I tak na 2-go lutego zakończyłam pracę nad pamiątkami. Zależało mi na tym bardzo, bo **drugi luty to** dla mnie dzień szczególny. To **rocznica ślubu Rodziców i urodziny Mamuśki**. Czciała ona ten dzień odkąd sięgam pamięcią z ogromnym wzruszeniem i radością. Dlatego mój chrzest miał również miejsce 2-go lutego, a **drugie imię Maria wyznaczało dzień moich imienin**. (*Szkoda że nie dowiadujemy się: skąd to pierwsze imię, Lubosza – p.m.*) Czuję wyraźnie, że Mama przekazała mi miłość do tych rocznic. Są one drogie dla mnie tak samo, jak były dla niej. Kuferek stoi przy wejściu do mojego pokoju. Przechodzę więc koło niego wiele razy w ciągu dnia. A gdy idę spać albo zajrzę do środka, albo go chociaż dotknę, jeśli jestem bardzo zmęczona. **A gdy będę zasypiać snem, który połączy mnie z Mamuśką**, może usłyszę kołysankę, która kiedyś śpiewała mi do snu:

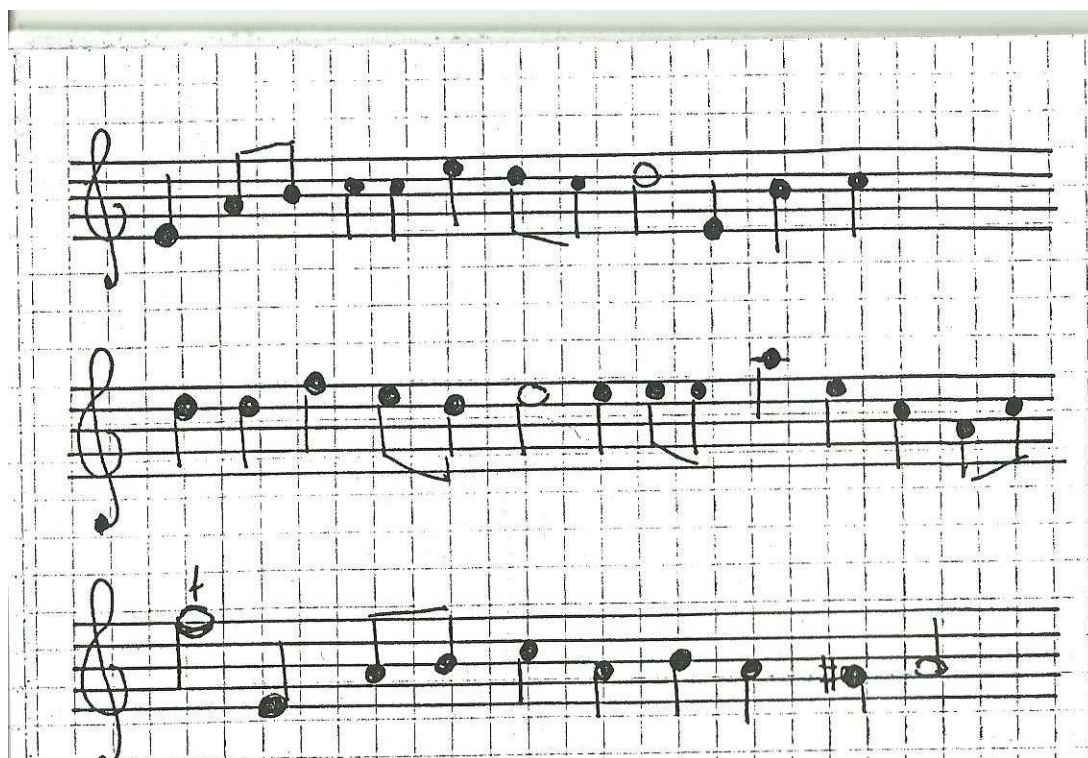
Zaszło słońko wśród złotych zórz,

Klęknij Lubosiu i rączki złóż

I pod błyskami tych jasnych gwiazd,

Módl się o spokój dla naszych gniazd.

*Módl się za kwiaty rodzinnych pól,
Za tych co płaczą i cierpią ból.
Módl się by dom ten wziął Bóg pod straż
I za Ojczyznę zmów Ojcze Nasz.*



*Treść tu zawartą
wydobyła z najgłębszych
zakamarków mojego serca
Asia Korsak*

*Z kserokopii rękopisu przepisywał i tytuł, śródtytuły nadał oraz niektóre fragmenty tekstu
wyakcentował J. Alfred Dąbrowski. Rzeszów, lipiec 2014 roku.*

Lubosza Dąbrowska

Kronika rodzinna trzech pokoleń:
Pradziadków Koperskich
Dziadków Grzegórków
Rodziców Karpińskich

Pomiechówek, 1995 r.

J. Ostrowski Księga Herbów Rodów Polskich str. 252 Nr. 1440

Korab.

Korabiów.

Korabowik.

- u polu wiewornym
korab złoty z wieżą
murowaną

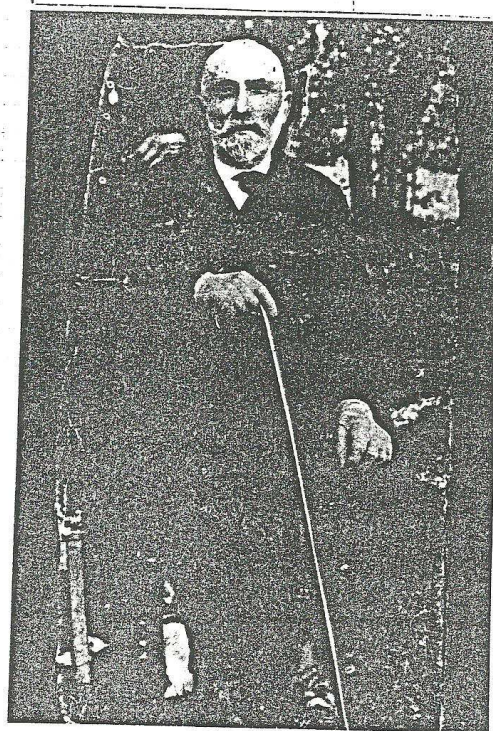
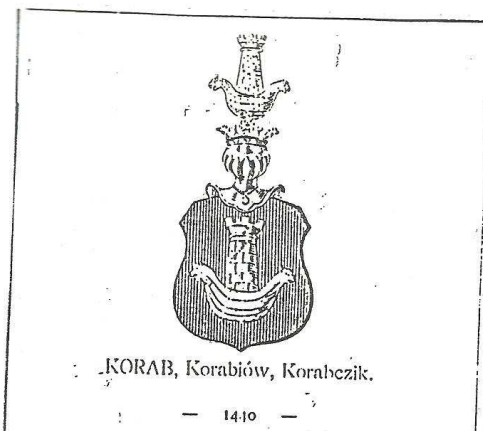
i blamkowaną.

Kad kiel mem.

u koronie bali

Sam Korab

z wieżą.



jedem.

~ majstarom
herbów u zapiskach
sędowskich z XV stulecia
u wspomnianym.

Dawniej nosił
mawet i żagle.

Korab - mały statek
blamk - u architektury
średniowiecznej
zobacz ziemowienie

murów i białych
obrazów.

zabierających
rafę podczas
wzburzenia i porwania
z ulicą strefy
do oblegających.

Wojciech Antoni

Koperski

herbu Korab



Pradziadkowie Koperscy

Przez umiłowanie miejsca rodzinnego, ojcowizny, dochodzimy do miłości ojczyzny.

Tam gdzie przed wiekami było gniazdo orła ujrzane przez Lecha, tam było nasze wspólne gniazdo rodzinne: Polska i zbudowany przez tegoż Lecha gród Gniezno.

Z tego historycznego miejsca wywodzą się korzenie naszej rodziny. W Gnieźnie bowiem w 1832 roku urodził się **Pradziadek Wojciech Antoni Koperski herbu Korab** (patrz jeszcze na przypis 1). Lata jego dzieciństwa i młodości to okres nieustannej walki Polaków o odzyskanie niepodległości. Jego narodzinom towarzyszyło dogorywanie powstania listopadowego. Lecz ani przegrana walka, ani represje spadające na jej uczestników nie powstrzymały patriotów od przygotowywania dalszych kroków ku wolności. W związku z częściowym złagodzeniem prześladowań w zaborze pruskim, nastąpiło tam ożywienie ruchu niepodległościowego. Do Wielkopolski zaczęła napływać obficie literatura emigracyjna, tutaj chronili się emigranci polityczni z Królestwa i tutaj również kontakty z emigracją były łatwiejsze niż w innych zaborach. Już w roku 1839 powstała organizacja: Komitet Poznański, która prowadziła akcję propagandową na rzecz wznowienia walki o niepodległość. Zaowocowała ona w okresie Wiosny Ludów, gdy w 1848 roku wszystkie trzy zabory podjęły kolejną próbę walki. Udział w niej Poznańskiego był bardzo czynny i to zarówno szlachty jak i chłopów. Klęska i represje nie zniechęciły patriotów. Kolejne wielkie powstanie styczniowe w 1963 roku w zaborze rosyjskim zostało czynnie poparte przez Wielkopolskę, która zasiłała je licznymi ochotnikami i bronią.

Pradziadek Wojciech miał wówczas 31 lat i był zaangażowany w walkę. Z tego powodu po upadku powstania musiał uchodzić przed prześladowaniem z zaboru pruskiego. Myślał prawdopodobnie o Galicji, gdzie Polacy cieszyli się względnymi swobodami politycznymi. Nie dotarł jednak do zamierzonego celu. Osiedlił się w Laskowie koło Jędrzejowa.

Pradziadek Wojciech i **Prababcia Anna Józefa** mieli dziewięcioro dzieci. Córki pod późniejszymi nazwiskami: **Felicja Zdankiewiczowa, Jadwiga Jarczyńska, Maria Bryłowa, Antonina Marcowa, Julia Tarnowska, Michalina Grzegórzkowa, Zofia Majcherczykowa oraz synowie: Stanisław i Tomasz.**

Nie wiem jak doszło do tego, że Pradziadek Wojciech został dzierżawcą Sławic koło Miechowa, ale dzięki światłemu społecznikowi – gospodarzowi ze Sławic – panu **Franciszkowi Kulerowi**, który przyjaźnił się z wnukiem Pradziadka **Stefanem Grzegórką**, ten okres jego życia jest nam znany. Pan Kuler był młodym chłopcem u schyłku życia Pradziadka, a więc w roku 1897. Skoro więc w roku 1965 tak pięknie opisał Jego działalność jako dzierżawcy na tle historii Sławic, można sobie wyobrazić, jak szanowana była pamięć Pradziadka Wojciecha już w co najmniej drugim pokoleniu mieszkańców wioski.

A oto co pisał Franciszek Kuler. Przepisuję tekst z rękopisu, który przechowuje wnuczka Stefana Grzegórzko, **Zofia Słota.**

Franciszek Kuler

Wojciech Koperski

ostatni Dzierżawca

dóbr Sławice - Duchowne

Sławice, dnia 10 października 1965 roku.

Panu Stefanowi Grzegórzko

staremu Przyjacielowi zamieszkałemu

w Miechowie, w dowód

szczerzej przyjaźni, na dalszą,

trwałą pamięć i miłe wspomnienia ofiaruję

Autor

Sławice, dnia 10 paźdz. 1965 r.

*W końcu 1875 roku ówczesny rząd carski dokonał konfiskaty Dóbr Sławice – Duchowne z przyległością Glinica, które to dobra od roku 1631 należały do klasztoru p.p. Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie. Dnia 20 marca 1879 roku rząd rosyjski sprzedał Sławice – Duchowne morgów 172 prętów 220 z przyległością Glinica morgów 336 prętów 75 **Feliksowi Mieszkowskiemu**, od którego tego samego dnia Dobra te kupiła **Ludwika Kuczevska**, której **mąż Stanisław** był dzierżawcą tej klasztornej posiadłości. Dwa lasy, to jest: Gawroniec i Glinice rząd zatrzymał dla siebie. P. Kuczevska Dobra te kupiła za cenę 16 tysięcy rubli.*

*Dnia 20 maja 1881 roku, część Glinicy, to jest las, kupił od rządu Żyd, Jakób Zalzburg, który jeszcze tegoż roku, po uregulowaniu serwitutu, pozostały obszar wykarczowanego lasu rozparcelował. Powstała nowa wieś Glinica. Dnia 16 listopada 1885 roku Dobra Sławice – Duchowne, obciążone długiem, kupił od Ludwika Kuczevskiej Żyd Gólgart, od którego 5 stycznia 1887 roku nabył za cenę 15 tysięcy rubli Ignacy Gągolewski, Dziedzic Wielko – Zagórza pod Miechowem. **Jak długo w świeżo***

nabytym majątku Sławice gospodarował nowy Dziedzic, tego nie wiem, ale chyba w samych początkach tej gospodarki pan Ig. Gągolewski oddał Sławice w dzierżawę panu Wojciechowi Koperskiemu, którego dobrze pamiętam, choć jeszcze wtedy byłem małym chłopcem. Nosił długą, prawie do pasa, siwą brodę. Był średniego wzrostu, dobrej tuszy. Pamiętam jak p. Wojciech Koperski chodził z laską koło brodeł siana, które stały na łące, przy drodze prowadzącej koło łąk ze Sławic do Parkoszowic. Stojące brodła siana zakupywali często od Koperskiego Dońscy Kozacy z 14 pułku stacjonującego w Miechowie. Siano zimową porą ładowano na chłopskie wozy i gospodarze sławicki odwozili je Kozakom do Miechowa, przy czym dobrze zarabiali, a i konie chłopskie przy tem mogły do syta najeść się siana. W tych czasach na łąkach p. Koperskiego siano i potraw (?) dawały corocznie obfity pokos. Dwór posiadał dwie łąki. Jedna ciągnęła się od mostku wzdłuż płynącej rzeki aż do łąki plebańskiej ku Parkoszowicom. Druga łąka była w rędzinie, przylegała północnym bokiem do płynącej rzeki i ciągnęła się od cmentarza aż do granicy wsi Pojałowice.

Opowiadał mi mój ojciec, że w swoim czasie dworską łąkę w Rędzinie zaorał za trzy dni (4 morgi). Z tej łąki zawsze siano i potraw zwożono do stodół dworskich, do własnego gospodarczego użytku. Z bliżej dworu położonej łąki siano zakupywali Kozacy.

W którym roku i skąd p. Koperski przybył do Sławic, na pewno nie wiem. Wydaje mi się, że sprowadził się do Sławic z Laskowa powiat Jędrzejów, gdzie urodziła się jedna z jego córek (?) – Michalina. Dawniej droga ze Sławic do Miechowa prowadziła tuż koło samego dworu. Gdy z matką szliśmy do miasta, to prawie zawsze w pobliżu dworu widywałem trzy młode panienki z długimi, złotymi warkoczykami. Były to córki państwa Koperskich. Musieli mieć i synów, ale nie znałem ich.

Pan Koperski był dobrym gospodarzem i wzorowym rolnikiem. Znał się na uprawie roli i uprawiał ją znakomicie. W tych czasach chłopci w Sławicach, a także i w sąsiednich wioskach, orali jeszcze w zagony składające się z pięciu skib. We dworze orano na wysokie składy. To też, przy każdej nadarzającej się sposobności, przy każdym spotkaniu się z chłopami sławickimi, pan Koperski usilnie zachęcał ich do zaniechania orki w przestarzałe zagony, które w skutek dużej ilości bruzd przyczyniały się w znacznym stopniu do obniżenia wydajności plonów, a tym samym do przynoszenia poważnych strat w gospodarstwie. Wielu sławickich chłopów posłuchało przyjacielskiej rady p. Koperskiego i porzuciło orkę w zagony. Ale znaleźli się też i tacy, którzy nie chcieli korzystać z dobrej rady i dalej orali w zagony. Z czasem w Sławicach – Duchownych pozostał tylko jeden gospodarz, nasz sąsiad Jakub Pogoń, który do śmierci trzymał się kurczowo orki w zagony.

Chłopi sławicki niejednokrotnie korzystali nie tylko z dobrych rad, ale także i dobrych uczynków Pana Koperskiego. Na wiosnę, nie pamiętam w którym roku, w gospodarstwie mojego ojca woda weszła do dołu z ziemniakami, stała parę dni w dole, ziemniaki zepsuły się, straciły kielkowanie i były niezdatne do jedzenia. Sadzić nie było czym, a na zakup innych nie było pieniędzy ... Ojciec nie wiedział co robić, ale zamyślał pójść do Koperskiego i przedstawić mu swój problem. I poszedł zafrasowany do dworu. P. Koperski po wysłuchaniu kłopotu ojca w sprawie oberwania się dołu i zepsucia się ziemniaków, kazał ojcu ziemniaki zepsute przywieść do dworu dla trzody chlewnej, a w zamian za nie p. Koperski dał ojcu parę korcy zdrowych ziemniaków.

W tych czasach sławickich chłopów często odwiedzała pani bieda, a czasem to i w parze z nędzą. Przednówki były częste (?) i długie; w niejednej zagrodzie zabrakło chleba. A w każdym domu mieszkały liczne rodziny. Dzieci wyciągały ręce po chleb. Co było robić w takim położeniu? Ano, trzeba pójść do dworu i prosić Pana Koperskiego o ratunek. Pan Koperski po wysłuchaniu skargi, że dzieci

głodne, nie mają co jeść, a na kupno zboża ojcowie nie mają pieniędzy, polecił karbowemu wydać ze spichlerza korzec, czy dwa korce ziarna, dając chłopu na oddanie z nowego lub na odrobek przy orce, albo w żniwa.

Inny gospodarz zobaczył we dworze utrzymywane, z dużymi wymionami rasowe krowy. Wzięła go chęć nabycia we dworze cieliczki do swojego chlewka. Ale cóż, pieniędzy nie ma na kupno lepszego cielęcia, a za ciele po swojej krowie, które było nie większe od jagnięcia, nie kupi się dworskiej cieliczki. Co robić? Ano, trzeba pójść do Koperskiego i prosić go o poradę. Pan Koperski widząc dobre chęci chłopu, który miał w kieszeni pusto, kazał mu przyprowadzić swoje ciele, które wymienił mu bez żadnej dopłaty na dworską cielickę.

Innemu nie urodziła się pszenica, albo była ze śmiecią, niezdatna do siewu. Chłop nie miał czym siać, a na kupno czystego ziarna nie miał pieniędzy. I znowu zmartwienie, co począć? Ano, nie ma innej rady, trzeba pójść do dworu do pana Koperskiego i prosić o poradę. Pan Koperski widząc zmartwionego chłopu, kazał mu przynieść swoją usmoloną (?) i zachwaszczoną pszenicę, za którą karbowy Stanisław Guguła, przezywany „Karpiem”, którego córka jeszcze dotąd mieszka w Miechowie na wyrobku (?), wydał mu czyste zboże odpowiednie do siewu. Bywało, zachorował ktoś z ludzi ze wsi, czy też krowa lub koń, zawsze o doraźną pomoc udawano się do Dworu. To też nic dziwnego, że chłopu sławiccy szanowali i czcili p. Koperskiego, w którym widzieli swojego Opiekuna i Dobroczyńcę.

*Częstym gościem we Dworze u Państwa Koperskich był **ksiądz Karol Wójcik**, ówczesny proboszcz parafii sławickiej. Pan Koperski każdego roku księdzu Wójcikowi przywoził w prezencie dwie, a czasem więcej jak dwie fury słomy, koniczyny, lub też plew dla krówek. Ksiądz Karol Wójcik po 17-tu latach pobytu w Sławicach, dnia 20 lipca 1911 roku został wysłany do Pińczowa na kapelana w tamtejszym klasztorze i tam zmarł w czasie wielkiej zimy, to jest w 1929 roku.*

Rok 1890 był klęskowo suchy. Przez cały kwiecień, maj i czerwiec nie było ani jednej kropli deszczu. Żniwa rozpoczynały się już w drugiej połowie czerwca. Pan Koperski na św. Piotr, to jest na dzień 29 czerwca, miał już wszystko żyto w stodole. W tym roku dla zwierząt domowych panował głód. Także i ludzie mieli mało chleba, bo urodzaj był bardzo lichi.

W styczniu 1894 roku Pan W. Koperski wyprawiał wesele dla jednej z córek, a mianowicie: dnia 20 stycznia 1894 r. w parafialnym kościele w Sławicach brał ślub Karol Grzegórzko, kawaler lat 27, syn Jana i Jadwigi z Łapińskich, urodzony i zamieszkały w Szczepanowicach, z panną Jądrzeją (?) – Michaliną, dwóch imion lat 18 mającą, córką Wojciecha Koperskiego i Józefy z Żubrowskich, urodzona w Laskowie powiat Jędrzejów, a w Sławicach przy swoich rodzicach zamieszkała. Ślub dawał ks. Karol Wójcik, proboszcz parafii Sławice. O wyjściu za mąż pozostałych córek p. Koperskiego nic pewnego nie mogę powiedzieć, gdyż nie pamiętam kiedy i za kogo powychodziły za mąż. Jedna z nich była, o ile się nie mylę, za Majcherczykiem, młynarzem spod Miechowa.

Za pobytu p. Koperskiego w Sławicach zboża żęto sierpami, a koniczynę i trawę na łąkach kosiarze kosili kosami. Żniwiarek i kosiarek w tych czasach nie było. Stalowy, uzębiony tradycyjny sierp i kosa znakomicie (?) zastępowały dzisiejsze snopowięzaki i kosiarki. W tych czasach było wesoło w Sławicach. Ale umilkły piosenki wiejskich dziewcząt. Dzisiejsze dziewczyny wstydzą się śpiewać. Dziś próżno byś nakłaniał ucha – nie usłyszysz dźwięcznej piosenki wiejskiego dziewczęcia. Dziś w polu, na łąkach panuje pustka głucha. Umilkł nawet świat ptaszęcy. Za czasów p. Koperskiego inaczej bywało.

W śród pól i lasów życie aż kipiało. Miliony ptasząt gnieździło się w krzewach. Dzisiaj głucho w lesie. Ptactwo wyginęło. Nie usłyszysz tu śpiewu.

Stanisław Guguła „vel Karpiel”, ostatni karbowy p. Koperskiego, często o świcie z pod dworu nawoływał wyrobników pracujących we dworze, krzycząc na całe gardło: „wychodzić”. Na jego wołanie robotnicy dworscy wychodzili z domów i szli do dworu. A gdy już po pracy na wieczór wracali z pańskiego do domów, to często na plecach nieśli olbrzymie Ociepy słomy, a czasem i koniczyny; a zwłaszcza zimową porą. Zdarzało się, że w czasie omłotu okrągłego grochu, choć w kieszeniach, w butach, przynosili do domów groch, lub koniczynę do siewu, a czasem, jak się udało, to i garść pszenicy na kluski.

Powoli mijał rok za rokiem. Między wsią a Dworem panowała jak najlepsza sąsiedzka zgoda i spokój. Wieś z dworem łączyły zawsze jak najlepsze przyjacielskie stosunki. Pewnego jesienno-go dnia p. Koperski okryty sromem zaniemógł i był zmuszony położyć się do łóżka. Choroba z dnia na dzień powiększała się i wyczerpywała jego żywotne siły. Zbliżała się jego śmierć. **Dnia 19 października 1897 roku we Dworze w Sławicach – Duchownych umarł Wojciech Koperski**, ostatni dzierżawca Dóbr Sławice – Duchowne, w wieku lat 65 swego życia mający. **Zmarły pozostawił po sobie owdowiałą żonę z drugiego małżeństwa, Katarzynę z Margosińskich.** Umarł Obywatel, opiekun biednych i szczerzy przyjaciel chłopów. Dnia 21 października odbył się pogrzeb. Zwłoki zmarłego śp. W. Koperskiego eskortował ze Dworu do kościoła, i na miejsce wiecznego spoczynku, ksiądz Karol Wójcik, ówczesny proboszcz parafii sławickiej. W pogrzebie wzięli liczny udział nie tylko ludność Sławic, ale mieszkańcy całej parafii sławickiej. Z żalem żegnali swego Opiekuna i Dobroczyńcę. Zmarły przed śmiercią przyjął z rąk księdza K. Wójcika ostatnie Sakramenty Święte, po czym spokojnie zasnął w Panu. Po jego zgonie Dwór i Wieś zaległ smutek i żal głęboki. W sercach tutejszego ludu pozostała na długo głęboka pamięć.

Dnia 20 lipca 1911 roku ks. Karol Wójcik, po 17 latach proboszczowania, wyprowadził się ze Sławic do Pińczowa, gdzie objął obowiązki kapelana w tamtejszym klasztorze żeńskim. W Pińczowie też zmarł w czasie ciężkiej zimy, jaka nawiedziła Polskę w roku 1929. Ksiądz Karol Wójcik nastał do Sławic w 1894 r. z Mianocic, gdzie **pełnił obowiązki kapelana we dworze Hallerów.**

Akt zgonu śp. Wojciecha Koperskiego

Sławice – Duch.

Działo się we wsi Sławicach, dnia dwudziestego października tysiąc

Koperski **1897** osiemset dziewięćdziesiątego siódmego roku o godzinie piątej po

Wojciech południu. Stawił się **Jan Bednarski** lat pięćdziesiąt pięć i **Jan Burakowski** lat dwadzieścia osiem; pierwszy włościanin, drugi miejscowy parafialny organista; obaj zamieszkali w Sławicach – Duchownych i oświadczyli nam, iż w tejże wsi we dworze, wczoraj o godzinie ósmej rano umarł Wojciech Koperski lat sześćdziesiąt pięć mający, dzierżawca dóbr Sławice – Duchowne, urodzony w mieście Gnieźnie w Wielkim Księstwie Poznańskim, a zamieszkały w Sławicach – Duchownych, syn nieżyjących Antoniego i Katarzyny niewiadomego nazwiska, małżonków Koperskich, zostawiwszy po sobie owdowiałą żonę Katarzynę z Margosińskich. Po przekonaniu się naocznie o zejściu Wojciecha Koperskiego, Akt ten, stawiającym świadkom przeczytany, z jednym tylko

świadkiem pisemnym, z nami podpisany. Ks. Karol Wójcik, proboszcz parafii sławickiej, Jan Burakowski świadek.

*

*

*

Wojciech Koperski pochowany został w zachodnim końcu starego cmentarza, naprzeciw grobu pani Matyldy Rokoszewskiej, Dziedziczki Sławic i Wymysłowa. Pochowano go głową na zachód, a nogami na wschód. W niedługim czasie po pogrzebie, pozostała owdowiała żona wraz z dziećmi, na grobie zmarłego męża i ojca, położyła cementową płytę, na której wyryto taki napis:



D. O. M.

Wojciech Antoni

Koperski

Dzierżawca Sławic Poduchownych

urodzony w Gnieźnie w 1832 r.

żył lat 65

Zmarł dnia 19 października 1897 r.

Pozostała żona z dziećmi

kamień ten kładą

prosząc o Zdrowaś Maria

Pierwsza płyta leżała wzdłuż grobu, ale za proboszczowania księdza **Bogusława Postuły** (od 1946 do 1953 r.,) w czasie porządkowania cmentarza grzebalnego, została położona w poprzek grobu, Krzyżem na północ, i w takiej pozycji pozostaje do dnia dzisiejszego. Z jakiego powodu ks. Postuła kazał tę płytę obrócić, nie jest mi wiadome. Może dlatego, żeby był więcej uwydatniony i uwidoczniiony napis na płycie? Obecnie grób śp. Wojciecha Koperskiego znajduje się w złym stanie. **Należałoby wnukom**

zmarłego śp. Wojciecha Koperskiego, od dłuższego czasu zaniedbywaną mogiłę, przyprowadzić do należytego stanu.

Pozostała po śp. W. Koperskim żona, Katarzyna z Margasińskich, przez pewien czas zamieszkiwała jeszcze we Dworze w Sławicach, które niebawem musiała opuścić. Dokąd się wyprowadziła, tego nie pamiętam. Była tercjarką, co dzień chodziła do kościoła i przystępowała do Komunii Św.

Od roku 1888 do 1897 p. Wojciech Koperski był dzierżawcą Dóbr Sławice – Duchowne. Po jego śmierci, gdy dzierżawa wygasta, w roku 1898 p. Ignacy Gągolewski, dziedzic Dóbr Wielko – Zagórze, część swoich Dóbr Sławice – Duchowne rozparcelował i sprzedawał po cenie 180 rubli za 1 morgę, na warunkach: spłata przez sześć lat na raty. Czynsz roczny z dzierżawy dóbr Sławice – Duchowne obejmujące przestrzeń 252 morgów czynił rocznie rubli 900. Od tego czasu nie ma już dworu w Sławicach – Duchownych. Zabudowania dworskie z przylegającym gruntem, około 80 – ciu morgów, nabył w czasie parcelacji Jan Cholewa, chłop z Prandocina, który grunt ten tytułem wiana dwóch swoich córek – starszej Marianny i młodszej Anny – odda swoim zięciom: Antoniemu Kwiecień i Franciszkowi Jakubas, po wyłączeniu z ogólnego obszaru dla swojego osobistego użytkowania morgów 10. Już dziś (rok 1965) starsza córka Marianna i obaj zięciowie nie żyją.

Dnia 17 maja 1935 roku Antoni Kwiecień przebudował starą podworską stodołę i przykrył ją dachówką. Stara stodoła była kryta strzechą. W roku 1929 Antoni Kwiecień rozebrał ów stary modrzewiowy dworek, rezydencję dawnych Dziedziców i Dzierżawców Sławic – Duchownych, a więc i Wojciecha Koperskiego, ostatniego dzierżawcy tych Dóbr, i na jego miejscu wystawił nowy dom murowany z cegły, o pokryciu twardym. **Dotąd istnieje jeszcze stary, podworski spichlerz i podworska obora nieco przebudowana.**

W roku 1630 Piotr i Zofia, małż. Minicy, byli dzierżawcami Sławic – Duchownych. W 1631 r. Sławice z Glinicą kupił od p. Minockiego klasztor Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie. Jeszcze dotąd, przy drodze prowadzącej koło zabudowań dawnego dworu, do góry w stronę Gawrońca, rośnie kilka lip, które niezawodnie były posadzone za pobytu p. Wojciecha Koperskiego w Sławicach – Duchownych.

*

*

*

Z dziewięciorga dzieci Pradziadków Koperskich znane mi jest życie tylko dwóch córek: Michaliny i – najmłodszej – Zofii. Zofia Koperska wyszła za mąż za młynarza spod Miechowa, Stanisława Majcherczyka. Był on właścicielem młyna w pobliskiej wiosce, Siedliskach nad rzeką Cichą. Obecnie ta część Siedlisk jest przyłączona administracyjnie do Miechowa i nazwana ulicą Kopernika.

Mieli oni pięcioro dzieci: córki – **Stanisławę, Hannę, Wincentynę** oraz synów: **Adama i Klemensa**. Pamiętam z lat okupacji niemieckiej krzepkiego staruszka, Stanisława Majcherczyka. Zofia z Koperskich już wówczas nie żyła. Pamiętam też dobrze ich dzieci, zwłaszcza Hannę o pięknym głosie, która często odwiedzała Mamę w Miechowie (mieszkała w Krakowie) oraz Adama i Klemęsa, którzy prowadzili młyn. W czasie okupacji często chodziłam z Mamą do wujostwa Majcherczyków. Ogromne wrażenie robił na mnie młyn wyposażony w nowoczesne urządzenia. Niestety, po drugiej wojnie

wujowie zostali uznani za „kapitalistów” i „wrogów ludu”. Młyn odebrano im i doprowadzono do całkowitej ruiny. Obecnie stary młyn istnieje, ale nie funkcjonuje, a w domu mieszka **córka Adama, Marta Śladowska** z rodziną. Opowiadała mi ona o „przejęciu młyna przez władzę ludową”. Kiedy przysłano nakaz wywłaszczenia, zrozpaczony wuj Adam pojechał z interwencją do Warszawy, do Gomółki i, o dziwo, otrzymał dokument nakazujący wstrzymanie wywłaszczenia. Lecz było już za późno. W czasie jego nieobecności wtargnęło do młyna 20-tu oprychów uzbrojonych w łomy, siekiery itp. Niszczyli, rozrywali, rozbijali wszystko, co się tylko dało. A wspaniałe, nowoczesne maszyny, zdewastowane i zniszczone, wywieziono.

Dziadkowie Grzegórzki

Ślub Michaliny z Koperskich z Karolem Grzegórką, kawalerem ze Szczepanowic, odbył się 20-tego stycznia 1894 roku w kościele w Sławicach. Dziadek Karol i jego dwóch braci: Wojciech i Jan, pochodzili z bardzo zamożnej rodziny. Gdy żenił się z babunią Michaliną, należało do niego kilka niewielkich posiadłości rozrzuconych po okolicy, między innymi stawy rybne koło Jędrzejowa. Sam dziadek Karol był człowiekiem wykształconym, bardzo przystojnym, muzykalnym, o pięknym głosie. Lecz największym jego skarbem były: patriotyzm, religijność, miłość do ziemi i przyrody, wielka życzliwość dla ludzi.

Pradziadkowie Koperscy kupili Babuni Michalinie, jako wiano, niewielką posiadłość w Miechowie, miasteczku oddalonym od Sławic ok. 8 km i tu dziadkowie rozpoczęli wspólne życie. Pozostałe zaś własności dziadka Karola były dzierżawione.

Dziadkowie Grzegórzki mieli ośmioro dzieci. Do roku 1899 urodziło się troje: **Stefan** i córki **Dorota Helena (Karch)** i **Irena Marta (Wilczyńska)**. 1-go lutego 1900 roku urodziła się **nasza Mama, Marianna Karolina (Karpińska)**. Następnie **Leokadia Zofia (niezamężna), Domicela Józefa (Kubichowa)** oraz w roku 1910 **Cecylia Janina (niezamężna)** i w roku 1911 **Stanisław**. Dwaj synowie: Józef i Jan, zmarli w niemowlęctwie. Pierwsze imiona córek to tylko formalność. W powszechnym użyciu były tylko drugie.

W trzy lata po ślubie Dziadków zmarł Pradziadek Wojciech, a Prababcia – jego druga żona – wyjechała ze Sławic.

Czasy miechowskie od początku wieku do wybuchu drugiej wojny światowej znam tylko z opowiadań. Do 1919 roku Dziadkowie stanowili piękną polską rodzinę, która kontynuowała wartości etyczno-moralne poprzednich pokoleń. W kuchni domu Dziadków był ogromny piec chlebowy, w którym wbudowano tajne schowki, a w nich przechowywano książki o historii Polski, o literaturze, obrazy religijno-patriotyczne itp. Dziadek Karol miał pasiekę. Ule były niespotykanych rozmiarów, sięgające niemal dwóch metrów. Roje pszczoł zajmowały połowę ula, a reszta – dolna część – stanowiła schowki, w których ukryte były najcenniejsze dzieła historii i literatury polskiej. Co pewien czas wpadały do miasta patrole rosyjskie, które ludność miechowska nazywała objeszczykami, bezkarnie wchodzili do domów i szukali śladów polskości. Po ich odjeździe Dziadkowie wyjmowali ze skrzynek swoje skarby, pokazywali dzieciom, uczyli miłości Ojczyzny.

W Miechowie były ubogie rodziny, często obarczone małymi dziećmi. Tam docierała pomoc Dziadków. Szczególnie przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy posyłano im produkty

żywnościowe. Mama opowiadała o szewcu, który przygarnął dwoje sierot; rodzeństwo. Ta rodzina była systematycznie zaopatrywana w mleko, mięso, mąkę itp. Ludzie w Miechowie wiedzieli, że Karol Grzegórzko nikomu nie odmówi pomocy. Mama była szczególnie wrażliwa na biedę, z którą zetknęła się w pobliskiej wsi Komorów. Miała częsty kontakt z dziećmi z czworaków, którym przynosiła smakołyki przygotowywane przez Babunię Michalinę. W polu odbywała się uczta, a potem wspólna zabawa, aż do usłyszenia potężnego dzwonu, który wzywał całą rodzinę na posiłek. W tak zwanych „Kocich Dołach” rozciągała się niewielka łączka, która stanowiła dobre miejsce wypoczynkowe. Można tam było dojść cmentarzem od ulicy Krakowskiej. Mama, która często bawiła się w tej części pola, pewnego razu zaobserwowała widok, który nią wstrząsnął. Otóż kilka zamożnych rodzin mieszczańskich zaczęło tu przyprowadzać na spacer swoje pociechy, które po zabawie siadały do obfitego posiłku. Natomiast z krzaków patrzyły na to łakomie niedożywione dzieci wiejskie. Mama, wówczas mała dziewczynka, znalazła sposób, jak pozbyć się bezdusznych intruzów. Uprosiła starego służącego, Wawrzonia, aby łączkę „ozdobił” krowimi plackami. Poskutkowało – panie przestały przychodzić. Poczciwy Wawroń zawsze ulegał prośbom swojej ukochanej panienki.

Mama od dziecka uwielbiała konie i była doskonałą amazonką. Pewnego razu Dziadek kupił nowego konia, lecz nie pozwolił Mamie go dosiąść, nie znając jego końskich manier. Pozostawał więc Wawroń, którego uprosiła, aby pozwolił jej pojechać na nim do wodopoju, do rzeczki Miechówki w Komorowie. W tajemnicy, w niedzielę rano, stary sługa posadził na konia Mamę, ubraną na biało do kościoła, i pojechali. Koń zachowywał się poprawnie, ale gdy wszedł do rzeki, natychmiast położył się w wodzie razem z Mamą na grzbiecie. Biała sukieneczka nadawała się tylko do prania. Po latach, już jako mężatka, Mama często jeździła konno. Mieszkając w Warszawie miała udostępnione stadniny ułańskie.

Dziadek był pionierem w dziedzinie sadownictwa. Sprowadzał – i sam szczepił – nowe gatunki drzew owocowych. Słynne nazwisko **ogrodnika Ulricha** kojarzy mi się z Dziadkiem, który był w stałym kontakcie z jego firmą ogrodniczą. Pamiętam dobrze drzewa sadzone przez Dziadka. Zwłaszcza grusze były bardzo potężne, sięgające kilku pięter nowoczesnego budownictwa. **A gatunki tych owoców niepowtarzalne.** Do dziś wspominam wiśnię, która rosta na późniejszej działce wuja Stasia. Ogromne, bordowe owoce, nadzwyczaj soczyste. Podobnego gatunku gdzie indziej jeszcze nie spotkałam. Do okazów, które dzisiaj pewnie pokazywano by w telewizji, należał również orzech. Rósł na granicy działki Mamy i wuja Stasia. Od około dwu metrowego pnia, który objąć mogły ręce co najmniej dwóch osób, rozchodziły się dwa konary wysokości wyżej wspomnianych grusz. Gdy pewnego razu podczas burzy, jeden konar trafiony piorunem runął i trzeba go było ściąć przy pniu, ja siadałam swobodnie na gładkiej powierzchni i bawiłam się w dom.

Całą okupację niemiecką Mama utrzymywała się ze sprzedaży owoców, których późne odmiany potrafiła doskonale przechowywać. A plantacja agrestu dawała nam dochody na pokrycie najpilniejszych potrzeb jeszcze w latach 60-tych.

Dziadek wystawiał swoje owoce na wystawach ogrodniczych. Otrzymał za wspaniałe gatunki trzy medale: jeden złoty i dwa srebrne. Mama opowiadała, jak pewnego razu Dziadek sprowadził małe drzewko jabłoni. Miał to być nowy, nieznany jeszcze gatunek. Jabłoneczka wydała dwa pierwsze owoce, z których jedno zgniło. Pozostały jedyny owoc Dziadek pielęgnował i obserwował nieustannie. Dzieci miały zakaz bawienia się koło tego drzewka. To sprowokowało Mamę, kilkuletnią dziewczynkę, do myślenia: tyle jest wspaniałych drzew i owoców w ogrodzie; po co ojcu to jedno nędzne jabłko?

Nie namyślając się długo, nie zerwała co prawda tego jabłka, ale ugryzła, pozostawiając go na gałązce. Dziadek posądzał o ten czyn kogoś ze służby, lecz nie mógł zrozumieć, kto i dlaczego chciałby mu zrobić taką przykrość. Mama, która uwielbiała ojca, nie mogła znieść jego smutku. Odważnie przyznała się.

Podstawową metodą wychowawczą Dziadka było nawiązanie kontaktu z dziećmi i zrozumienie przyczyny ich psot. I tym razem pohamował zdenerwowanie, wziął Mamę na kolana, przytulił i zadał podstawowe pytanie: dlaczego to zrobiłaś, Lineczko? Oczywiście szybko zrozumiał, że była to bezmyślność małego dziecka. Na owoce jabłoneczki trzeba było poczekać jeszcze rok.

Cała posiadłość utrzymana była nie tylko we wzorowym porządku, ale też z wielką estetyką i podkreśleniem piękna natury. Droga prowadząca od ulicy przez sad w pole, była wysadzona sosnami po obu stronach. Pamiętam ostatnią ocalałą sosenkę koło działki cioci Marty. Przed domem rosły piękne odmiany kwiatów i krzewów ozdobnych. Szczególnie kochał Dziadek róże. Mama opowiadała, że udało mu się wyhodować krzew róży czarnego koloru. W polu specjalne poletka były przeznaczone na karmę dla ptaszków. Siano tam przeważnie proso. Zimą wszystkie dzieci angażowane były do dokarmiania ptaków i zwierząt. Bażanty, kuropatwy, sikorki, wróbelki miały prawdziwe królestwo w posiadłości Dziadków. Zajęcie i inna drobna zwierzyna była stałym gościem w polu, gdzie ustawiano specjalne brodełka z paszą. Dziadek robił wiązki siana, większe i mniejsze, i dzieci zależnie od wieku, zносиły je w pole. Ten piękny zwyczaj kontynuowała Mama i wujek Stefan. Obydwoje, nawet w najtrudniejszych warunkach, kupowali dla ptaszków słoninę i ziarno.

Nie byłem na pogrzebie wuja Stefana, ale opowiadano mi, że w czasie tej żałobnej uroczystości ptaszki urządziły na cmentarzu prawdziwy koncert. Wszyscy odebrali to jako podziękowanie i pożegnanie. W Miechowie w ogrodzie Mamy były idealne warunki dla ptaków, które wiły mnóstwo gniazd w krzewach, a ich śpiew towarzyszył nam cały dzień. Mama sypała im chleb i latem, i zimą. A gdy zamieszkała z nami w Nowym Dworze Mazowieckim, **Józio Tabaka** zrobił prześliczne karmniki, które przenieśliśmy do Pomiechówka po przeprowadzce. A słoninę wieszamy na drzewach przez całą jesień, zimę i wiosnę.

W latach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej, w Galicji została utworzona organizacja wojskowa: Związek Strzelecki, na którego czele stanął Józef Piłsudski. W kilka dni po wybuchu wojny, 6-go sierpnia 1914 roku oddział Strzelców liczący stu kilkudziesięciu ludzi wkroczył do Miechowa. Można sobie wyobrazić radość Dziadków, którzy urodzili się i wychowali w niewoli. Pod nóż poszły cielęta i prosiaki. Stoły i Ławy wokół domu zastawione były obficie na przyjęcie polskich żołnierzy. Lecz radość trwała krótko. Strzelcy wycofali się i znów weszli do Miechowa rosyjscy okupanci. Rozpoczęło się dzieło zemsty i zniszczenia. Sosny okalające drogę przez sad i piękne krzewy wokół domu zostały bestialsko wycięte. Meble pocięto kozackimi szablami. Podziurawiono worki z mąką stojące w komorze. Na jednym z nich siedziała 4-letnia ciocia Jasia i zanosila się płaczem. Ten jeden worek ocalał. Dziadek Karol prowadzony był na rozstrzelanie ulicą Krakowską wraz z grupą innych patriotów. Na wieść o tym, na trasie tragicznego pochodu Żydzi zrobili tumult. W czasie zamieszania założyli Dziadkowi jarmułkę na głowę, na plecy zarzucili chałat, wzięli między siebie i uprowadzili. Ukryli go w bożnicy, która stała tu, gdzie dzisiaj kawiarnia „Bajka”. (W tym temacie patrz jeszcze na przypis 2-gi na końcu tej *Kroniki*)

Teraz muszę się cofnąć do pierwszych lat XX-go wieku, kiedy do Miechowa przybyła siostra zakonna, **Lipińska**. Celem jej misji była rozbudowa szpitala. Pochodziła z bardzo zamożnej rodziny i

dysponowała sporą gotówką, lecz nie wystarczającą do podjęcia tak poważnej inwestycji. Zorganizowała więc komitet budowy, do którego weszli, między innymi, Dziadek Karol i pan **Kulczycki**, obywatel ziemski. **Jego własnością był modrzewiowy dworek, stojący do dziś niedaleko starego szpitala.** Dworek jest pod opieką konserwatorów krakowskich, a obecnie przeznaczony na muzeum. Tak rozpoczęła się przyjaźń Dziadków z rodziną państwa Kulczyckich. Po ukończeniu rozbudowy szpitala, siostra Lipińska została przełożoną siostr zakonnych pracujących w szpitalu jako pielęgniarki.

Zaraz po wybuchu wojny, pani Kulczycka rozpoczęła aktywną działalność w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu jako organizatorka i koordynatorka pomocy żołnierzom na polu walki i w obozach jenieckich. Praca jej wymagała ciągłego przebywania za granicą. Po tragedii, która spotkała Dziadków, zaoferowała opiekę nad 14-letnią wówczas Mamą, która z wielkim zaangażowaniem pomagała im gościć polskich żołnierzy. Obawiali się więc zemsty okupanta na jej osobie. Mama przemierzyła z panią Kulczycką (którą nazywała ciocią) wiele krajów Europy. Lecz najwięcej i najdłużej przebywały tam, gdzie walczyły polskie Legiony. Pamiętam ciocię Kulczycką i jej dworek z lat okupacji niemieckiej. Często chodziłam tam z Mamą, zwłaszcza, gdy Staruszka zaczęła niedomagać. Mama pielęgnowała ją do końca jej długiego życia.

Tymczasem w majątku Dziadków przez lata wojny nie sposób było odbudować zniszczeń. Gospodarowało się aby przeżyć. **A u progu niepodległości w 1919 roku Dziadek zmarł na tyfus.** Babunia Michalina rozpoczęła walkę o przeżycie przy pomocy dorosłych i dorastających dzieci. Dwoje najmłodszych: ciocia Jasia i wujo Staś mieli po dziewięć i osiem lat. Sytuacja była tym bardziej ciężka, że Dziadek zdecydował się sprzedać małe posiadłości i kupić jedną większą. Przed wybuchem wojny wszystko – oprócz Miechowa – było sprzedane. Umiłowanie tego miejsca (z jego sprzedażą zwlekano aż do wybuchu wojny) przyczyniło się do jego ocalenia. Po śmierci Dziadka została zrujnowana posiadłość i walizeczka bezwartościowych już rubli.

Rodzice Karpińscy

Mama była mężatką od 1918 roku. Wkrótce potem wyszła za mąż ciocia Helena, ożenił się wujek Stefan, a pod koniec lat 20-tych mężatkami zostały ciocie: Marta i Józia. Mama i ciocia Helena wyjechały z Miechowa. Babunia Michalina borykała się z życiem i pracą do 1932 roku, kiedy to nastąpił podział majątku. Od tej pory każdy gospodarował na swojej części. Na frontowej działce od ulicy, która przypadła cioci Marcie, stała stodoła, a przy niej mieszkanie (kiedyś przeznaczone dla służby): pokój z kuchnią, spiżarka i piwnica. Tam zamieszkały: Babunia i ciocia Jasia. Pamiętam Babunię z lat okupacji. Cicha Staruszka, zawsze z Różańcem w ręku, która prawie nie opuszczała domu. Zmarła w 1948 roku w Opolu, dokąd zabrała ją ciocia Zosia po drugiej wojnie światowej.

Mama, czwarta z ośmiorga rodzeństwa, wyszła za mąż pierwsza, w wieku 18 lat. Spotkanie i poznanie się Rodziców było bardzo romantyczne. **Babcia Katarzyna Karpińska**, osoba bardzo religijna, opowiadała często swoim dzieciom: **Ludwikowi, Zygmuntowi, Wincentemu, Rafałowi, Ignacemu, Gabrieli i Marii** o historycznym kościele w Miechowie, gdzie w kaplicy symbolizującej Grób Chrystusa spoczywa kilka worków ziemi świętej, sprowadzonej przez Jakśę z Miechowa w XII wieku z Jerozolimy. Obiecała dzieciom pielgrzymkę do miechowskiego kościoła. Niestety, zmarła nie zdążywszy zrealizować tego planu. Zygmunt, urodzony 31-go października 1893 roku w Bobrownikach koło Dębina, student politechniki, chcąc spełnić wolę matki, wybrał się do

miechowskiego kościoła w 1917 roku. Gdy wszedł do świątyni, właśnie odprawiało się nabożeństwo dla młodzieży szkolnej. Tata od razu zwrócił uwagę na młodziutką dziewczynę modlącą się przed Wielkim Ołtarzem. Mama również zauważyła obcego przybysza i szepnęła do stojącej obok przyjaciółki, **Dobromiry Marjewskiej** (potem z męża **Rokickiej**): popatrz, jakiś obcy student. Dobrusia na to: widać ci się podoba? Mama odpowiedziała: a wiesz, że tak.

Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Lecz po nabożeństwie w tłumie młodzieży Tata zgubił Mamę. Pytał o nią uczniów miechowskiego gimnazjum wychodzących z kościoła. Opisał Mamę dobrze. Chłopcy wiedzieli o kogo chodzi i wskazali, że ta dziewczyna mieszka koło cmentarza. Cmentarz miechowski rozciąga się między ulicą Krakowską, a dawną posiadłością Dziadków. Posiadłość była odgródzona od ulicy potężnym płotem, a wejście zamykała nie mniej potężna brama, w której zrobiono małą furtkę. Pamiętam z dzieciństwa dwa masywne słupy z zawiasami, na których kiedyś zawieszona była brama. Przechodząc koło tego ogrodzenia nie sposób było odgadnąć, że za nim, na pewnym odcinku, posiadłość graniczy z cmentarzem. Tata przez kilka dni obserwował wejście na cmentarz od ulicy Krakowskiej. Oczywiście, Mamy nie spotkał. Zrozpaczony musiał odjechać, ale wkrótce wrócił i znowu pierwsze kroki skierował do kościoła. Wzrok jego padł na tę samą dziewczynę przed wielkim ołtarzem (Pamiętam, że Mama zawsze zajmowała miejsce w stallach). Tym razem nie stracił jej z oczu. Mama zauważyła, że obcy przybysz wszedł za nią do ogrodu, lecz myślała, że to ktoś z licznej rodziny i zaraz pobiegła w pole. Kochała ziemię i przyrodę jak jej Dziadkowie i Rodzice. Tata natomiast odbył rozmowę z Babunią i Dziadkiem, przedstawił swój życiorys i od razu poprosił o rękę Mamy. Zgoda była uzależniona od jej decyzji. Poszli więc szukać Mamy. Rozgościli się w letnim domku, w tej części posiadłości, którą wybrała sobie Mama po podziale w 1932 roku. Tu Mama wyraziła zgodę na przyjęcie oświadczyn, a Dziadkowie dali swoje błogosławieństwo. **Ślub Rodziców odbył się 2-go lutego 1918 roku.** Starsze siostry przestrzegały Tatę: „nic mieć nie będziesz, bo ona wszystko rozda”. Tata odpowiedział: „Niech rozdaje. Ja zarobię na to, żeby i ona miała, i mogła rozdać potrzebującym”. Rodzice nie od razu zamieszkali razem. Tata jeszcze kontynuował studia w Warszawie, a Mama w miechowskim gimnazjum żeńskim.

Uroczyste otwarcie tego gimnazjum miało miejsce 21-go września 1916 roku. O jego utworzenie walczył bezskutecznie Społeczny Komitet Obywatelski jeszcze przed wybuchem 1-ej wojny światowej. Dopiero w wyniku walk frontowych, gdy z Królestwa Polskiego zostali wyparci Rosjanie, a wkroczyły wojska austriackie, zarysowała się możliwość osiągnięcia celu. Bowiem polityka autonomii prowadzona przez Austriaków na okupowanych terenach, tolerowała rozwój szkolnictwa polskiego. Misję utworzenia gimnazjum Komitet przekazał **inż. Tadeuszowi Lechowi**. Było to 8-klasowe Gimnazjum Realne męskie oraz 6-klasowa Szkoła Komitetu Gimnazjalnego żeńskiego. Nie dawała ona matury. Aby ją uzyskać, absolwentki kontynuowały naukę w 8-klasowym gimnazjum żeńskim w Olkuszu. Mamie nie pozwoliło na to urodzenie dziecka, wojna bolszewicka w 1920 r. i wyjazd do Francji. Do 1939 roku Rodzice byli czasem rozdzielani, najczęściej z powodu wyjazdów służbowych Taty za granicę oraz Mamy na letnisko, przeważnie do ukochanego Miechowa. **Tata napisał do Mamy wiele listów wierszem. Mama oprawiła je w dwie książki. Pierwszy tom miała zawsze przy sobie i ten ocalał.** Drugi przepadł w Warszawie w 1939 roku. Pamiętam mały fragment pierwszego listu: „Pierwszy raz zobaczyłem Loleńkę w kościele. To na ołtarz, to na księdza spoglądała śmieje... I tak moje myśli były nią zajęte, iż zapomniałem, że to miejsce święte”. Potem był opis urody Mamy. Wszystkie listy opatrzone były nagłówkami: „Najukochańsza Loleńka” i taki sam zwrot widniał na kopertach. Niestety, po śmierci Mamy, nie odnaleźliśmy tej książki. Listy od Taty, które przechowywała, te które przychodziły po 2-ej wojnie, były tak samo tytułowane. Niektóre z nich, a

zwłaszcza karty z życzeniami, Mama oprawiła i zawiesiła na ścianie w swoim pokoju w Pomiechówku. Po jej śmierci wyjęłam je z ramek i włożyłam razem z Mamurką w trumnice. Czułam, że chciała je zawsze mieć koło siebie.

W 1920 roku Tata brał udział w wojnie z bolszewikami. Dzięki pośrednictwu gen. Sosnkowskiego, z którym przyjaźnił się, Mama wraz z Rafałem i Ignacym, otrzymała przepustkę z datą 9-go lipca 1920 roku, wydaną przez Naczelne Dowództwo Wojska Polskiego, zezwalającą na odwiedzenie Taty nie daleko pierwszej linii frontu, który wówczas przemieszczał się koło Wilna. Wszyscy (Mama z Tatą oraz Rafał i Ignacy) byli na Mszy Św. w Ostrej Bramie, a w cztery dni potem Tata został ranny w brzuch i leczony był w szpitalu w Poznaniu.

25-go stycznia 1920 roku, w domu Dziadków Grzegórków, urodziła się moja siostra, Hanusia. Wkrótce po wojnie Rodzice wyjechali z Hanusią do Francji, gdzie Tata otrzymał stypendium naukowe. Przeżyli tam kilka szczęśliwych lat. Dla Mamy był to piękny okres. Całe życie go wspominała i nazywała Francję swoją drugą ojczyzną. Tam po raz pierwszy zetknęła się z zagadnieniem prawidłowego odżywiania z wykorzystaniem w kuchni roślin bogatych w witaminy, które u nas tępiono jak chwasty (na przykład mlecz i pokrzywa). Mama pasjonowała się kuchnią francuską i całe życie wykorzystywała nowatorskie przepisy tam zdobyte, wzbogacając je własnymi pomysłami. Uwielbiała gotowanie i robienie przetworów na zimę, a wszystko pod kątem walorów odżywczych i witamin. W swej drugiej ojczyźnie zaobserwowała też wielki szacunek do pracy. W czasach dzieciństwa i wczesnej młodości Mamy można było zaobserwować zjawisko częste, choć nie nagminne, że w zamożnych domach dziewczęta wychowywano na panienki, które służba ubierała i wyręczała w pracach gospodarstwa domowego. Panienki uczono haftu, gry na pianinie i języka obcego, przeważnie francuskiego. Mama od najmłodszych lat nie mogła się z tym pogodzić. Jej ulubionym zajęciem było towarzyszenie Dziadkowi Karolowi (swojemu ojcu) w polu i pomaganie mu w miarę swoich dziecięcych możliwości.

Dzisiaj, prawnuczka Dziadków Grzegórków, Zosia Słota (wnuczka Stefana) darzy ziemię i pracę na niej taką samą miłością jak oni.

Mama często wspominała epizod, jeszcze z czasów pobytu w Legionach, jak z cicią Kulczyką zostały zaproszone na podwieczorek przez hrabiego (nazwiska nie udało mi się ustalić) gdzieś pod Wiedniem. Gdy znalazły się koło pałacu, lokaj poprosił je do salonu, tłumacząc, że panienki zaraz przyjdą, gdyż są przy dojeniu krów. Obydwie popatrzyły na siebie z niedowierzaniem i postanowiły zostać w ogrodzie, aby sprawdzić to osobiście. Faktycznie, wkrótce ukazały się dwie hrabianki w ochronnych ubraniach, wracające z obory z wiadrami mleka. Szybko przebrały się i po chwili całe towarzystwo usiadło do stołu.

Nic więc dziwnego, że z wielkim entuzjazmem przyjęła styl codziennego życia we Francji, gdzie dziewczęta i dojrzałe kobiety nawet z rodzin arystokratycznych, czynnie włączały się do wszelkich prac gospodarczych. W tym czasie wyemigrowała do Francji ciocia Helena z mężem i dwiema córkami: Ireną – Lidią i Matyldą. Na obczyźnie urodziła Alfredę, Lucynę i Sylwię.

Nie potrafię obecnie dokładnie odtworzyć lat międzywojennych pod kątem pracy zawodowej i naukowej Taty. Nie sposób też opisać jego licznych i pożytecznych zainteresowań i pracy społecznej. Piszę więc o tym, o czym wiem na pewno.

Tata wrócił do Ojczyzny jako inżynier chemik z wielkim zacięciem do pracy naukowej. Polska tworzyła wtedy od podstaw swoją państwowość gospodarczą, prawną i polityczną. Potrzeba było wielu fachowców w różnych dziedzinach. Młody chemik i gorący patriota nie mógł więc narzekać na brak pracy. Ponieważ we Francji praktykował między innymi w fabryce celulozy, zaraz po powrocie do Kraju został zatrudniony w wytwórni papierów wartościowych w Jeziornie.

Kolejnym etapem jego pracy zawodowej było objęcie katedry matematyki i geometrii wykreślnej w szkole lotniczej Walberga i Radwanda w Warszawie.

Na początku lat trzydziestych pracował w Ministerstwie Oświaty w Alei Szucha. Pełna ówczesna nazwa tego ministerstwa brzmiała: Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

O osiągnięciach Taty świadczy fakt, że w 1935 roku otrzymał propozycję objęcia teki ministra tegoż ministerstwa. Odmówił jednak mając na celu pracę naukową. Ministrem oświaty został wówczas profesor Wojciech Świątosławski..

Na kilka lat przed wojną Tata pracował w laboratorium chemicznym w wytwórni balonów i spadochronów w Legionowie, jako jego kierownik. Z tej racji otrzymał piękną służbową willę na ulicy Stróżańskiej.

Gdy w 1961 roku, jako młoda mężatka, przyjechałam z Mężem do Twierdzy – Modlin, urządziliśmy sobie wycieczkę do Legionowa. Odnaleźliśmy owa willę. Żyła nawet jej właścicielka, która pamiętała Rodziców i mnie jako dziecko.

Poza tym Tata miał ukończone konserwatorium muzyczne ze specjalnością skrzypce. Grał bardzo dużo i chętnie dla swej ukochanej Loleńki. Oprócz tego wspaniale fotografował. Spreparował nieznany wówczas materiał do robienia kolorowych zdjęć. Zachowało się kilka klisz kolorowych, lecz wywołać ich nie zdążył przed wojną.

Były to piękne lata ich życia. Oprócz niezachwianej, romantycznej miłości mogli sobie pozwolić na luksusowe życie. Tego zresztą wymagał charakter pracy Taty. W domu często podejmowani byli goście zagraniczni, którzy przyjeżdżali do Polski służbowo i prywatnie. Wśród nich niejednokrotnie bywała u Rodziców Francuzka, pani Roza de Bay, wielka działaczka na rzecz Polonii francuskiej. Miała być moją chrzestną matką, lecz w terminie wyznaczonym na chrzest byłam chora, a potem wybuchła wojna. Mama królowała w salonach urodą i elokwencją. Piękne cechy etyczno-moralne odziedziczone po przodkach, rozkwitły w tych warunkach kontynuowane przez rodziców. Tata nie rozstawał się z Różańcem i znajdował czas na codzienne odmawianie tej modlitwy. Na cele charytatywne systematycznie, co miesiąc, wpłacał pokażne sumy. Kilkoro zdolnej, ubogiej młodzieży wykształcił na własny koszt. Wśród nich był chłopiec, który sprzątał laboratorium w Legionowie. Tata zwrócił uwagę na jego zainteresowania nauką i skierował do gimnazjum, ponosząc wszelkie koszty edukacji. W chwili wybuchu wojny był przyjęty na politechnikę. Wśród promowanych do kształcenia przez Tatę był również wujo Staś, który pozostał w Warszawie po pierwszym wrześniu 1939 roku.

Osiągnięcia naukowe Taty znane były za granicą. Nazwisko jego figurowało w międzynarodowym biuletynie naukowym. Delegacja naukowców niemieckich agitowała go do podjęcia pracy w Niemczech oferując kilkakrotnie wyższe wynagrodzenie niż otrzymywał w Polsce. Tata kategorycznie odmówił. Cenił też wysoko życie rodzinne.

Pewnego razu zaistniała okazja zarobienia dużej sumy pieniędzy, lecz na wstępie trzeba było wyjechać na spotkanie z delegacją zagraniczną w niedzielę. Tata odpowiadał organizatorom: „niedziele i święta mam tylko dla rodziny. – Ależ panie inżynierze, traci pan co najmniej 2000 zł (dziś wartość małej willi). Tata na to: „moja rodzina jest bezcenna”.

Ja urodziłam się 23-go listopada 1935 roku w Warszawie. Mama, zakochana w przyrodzie i źle znosząca pobyt w dużym mieście, często wyjeżdżała ze mną już na wiosnę, najchętniej do Miechowa, choć miło też wspominała Augustów. Ministerstwo Oświaty, w którym tata pracował kilka lat, urzędująco w Augustowie wczasy dla swoich pracowników, wykorzystując nieczynne w czasie wakacji szkoły na ich zakwaterowanie. Po podziale majątku w 1932 roku, Mama miała własną działkę (0, 40 ha) z altaną, w której kiedyś poznała Tatę i przyjęła jego oświadczenia. Część altany zajmowała uboga rodzina, która opiekowała się ogrodem i utrzymywała go we wzorowym porządku. Duszą tej rodziny była Ruskowa. Szlachetność i uczciwość tej prostej analfabetki ujawniła się w pełni po wybuchu drugiej wojny, gdy Mama została w Miechowie ze mną i Hanusią bez środków do życia. Wakacje 1939 roku spędzała właśnie tutaj. Tata przyjechał do nas 15-go sierpnia z wiadomością, że wojna jest nieunikniona i żebyśmy nie ruszali się z Miechowa, gdzie będzie bezpieczniej niż w Warszawie. **Było to**

nasze ostatnie rodzinne spotkanie.

Wobec frontu przemieszczającego się w głąb Polski władze miejskie zdecydowały o ewakuacji na wschód. Mąż przyjaciółki Mamy, Dobrusi był wicestarostą. Zorganizował podwozy konne i namówił Mamę by jechała również. Ponieważ do Miechowa dochodziły wieści o ewakuacji do Rumunii rządu i władz centralnych Warszawy, Mama uległa namowom w nadziei, że spotka Tatę gdzieś w pobliżu granicy rumuńskiej. Tak dojechaliśmy do Zaleszczyk wśród ostrzeliwań i bombardowań. W Zaleszczykach mieszkał Dziadek, Andrzej Karpiński. Mama uznała beznadziejność dalszej morderczej drogi, odłączyła się od podwozy i zatrzymała u Dziadka. Natomiast los państwa Rokickich, którzy pojechali dalej, był tragiczny. Po 17-tym września, gdy Kresy Wschodnie zajęły wojska sowieckie, wśród uciekinierów ogłoszono, aby zapisywali się w odpowiednim urzędzie na powrót do Polski. Państwo Rokickcy - i wielu innych - uczynili to. Lecz ten sowiecki manewr okazał się pułapką. Wszystkich, którzy się zgłosili wywieziono na Syberię. Pan Rokicki zmuszony do katorżniczej pracy przy wyrębie lasu, wkrótce zmarł, a p. Dobrusia z 6-letnią córeczką Irenką, po gehennie, którą przeżyła, dołączyła do Armii gen. Andersa i przez Afrykę wrócili do Polski kilka lat po wojnie. Spotkanie jej z Mamą było wzruszające, a przyjaźń zachowały do końca życia. Ja utrzymuję kontakt z Irenką, która mieszka w Radomiu.

Tymczasem w Zaleszczykach Mama spotkała pracowników laboratorium legionowskiego, którzy zdecydowali się przekroczyć granicę rumuńską. Od nich dowiedziała się, że Tata, poszukiwany przez Niemców, ukrywał się jakiś czas w Legionowie u znajomych, i że udało mu się przedostać do Rumunii. W tej sytuacji wróciliśmy do Miechowa.

Zbliżała się zima. Nasze mieszkanie warszawskie wprawdzie ocalało, ale Niemcy zarekwirowali meble i w ogóle całe wyposażenie. Ratowała nas biżuteria, którą miałyśmy przy sobie. Nawet ja byłam właścicielką nowoczesnego aparatu fotograficznego. Najtrudniej było Mamie rozstać się z obrączką, ale i ją trzeba było sprzedać na życie i ciepłą odzież. Miałyśmy przecież tylko letnie rzeczy zabrane na wakacje.

W tym czasie znajomi przynieśli Mamie jesionkę, która tata przez przypadek zostawił u nich. Została przerobiona na damski płaszcz i Mama z Hanusią chodziły w niej na zmianę przez lata okupacji. Ja „weszłam” w nią jako uczennica 7-mej klasy szkoły powszechnej, a zdjęłam, gdy po studiach kupiłam sobie płaszcz za pierwszą pensję.

Ruskowa obieleła maleńką izdebkę w altanie i pomogła „umeblować” ją starymi paczkami po owocach. Była jeszcze szafa z domu Dziadków, ale nie mieściła się w naszej izbie. Stała w sieni. Altana została ogacona jesiennymi liśćmi. Za radą Ruskowej Mama kupiła kozę, dla której wygospodarowano jakiś chlewik. Do tych stworzeń Mama miała wielki sentyment do końca życia. Hodowała je jeszcze w latach 60-tych.

Mama kochała ziemię, a szczególnie swoją ojcowiznę, ale nie umiała na niej pracować racjonalnie. Ruskowa nauczyła ją wszystkiego i pomagała w gospodarstwie. Wiosna w ogrodzie zostały posadzone warzywa potrzebne do naszej kuchni. Owoców mieliśmy pod dostatkiem. Wystarczyło ich i na nasze potrzeby i na sprzedaż. Sad założony przez Dziadka Karola dawał wspaniałe plony.

Mama wylała wiele łez, gdy ludzie, którzy przed wojną z daleka kłaniali się pani inżynierowej, teraz odwracali się od niej. Nic więc dziwnego, że Ruskową ceniła i szanowała. Dopiero po latach potrafiłam ocenić postawę Mamy. Nigdy nie narzekała. Cieszyła się, że żyjemy, że mamy własną – choć nędzną – chatę i kawałek ziemi. Radość sprawiał jej śpiew skowronka, ptaszki, które wity gniazda w naszym ogrodzie, pola zbóż z makami i chabrami rozciągające się wkoło nas. Zawsze też dostrzegła bardziej potrzebujących i dotkniętych wojną niż my i spieszyła im z pomocą. Czasem był to kubek koziego mleka, czasem trochę warzyw, owoców lub bukietik kwiatów, idąc tego serdeczne słowa i uśmiech. **19-letnia moja siostrzyczka Hanusia bohatercko włączyła się do walki o byt.** Z czasem, dzięki ogromnej gospodarności Mamy i ludzkiej pomocy, znalazło się miejsce dla prosiaka i kur, przybyła druga koza. Hanusia pracowała w centrali telefonicznej, ale przed pójściem do pracy, latem wyruszała w pole z płachtą i sierpem, kosiła trawę i pokrzywy dla naszych zwierząt – przygotowywała im karmę. Zimą natomiast zносиła łupiny po warzywach oraz pomyje, które znajomi składali dla naszego inwentarza.

Mimo tak ciężkiej pracy Hanusia znajdowała czas na naukę. 1-go września 1939 roku miała pójść do ostatniej klasy gimnazjum. Teraz uczyła się w szkole handlowej, którą otworzyli Niemcy i konspiracyjnie przygotowywała się do matury. Uczyć mogła się tylko nocą, a tu trzeba było oszczędzać naftę i świece. Niedaleko naszych ogrodów przy ulicy była poczta doskonale oświetlona. Tam chodziła Hanusia z książkami późnym wieczorem i uczyła się przycupnięta przy oświetlonych drzwiach, ryzykując konsekwencje złamania godziny policyjnej. Pewnego razu zauważył ją naczelnik poczty. Potrafił docenić umiłowanie nauki i kazał dozorczy otwierać pocztę i wpuszczać Hanusię do środka. Teraz mogła się uczyć i w zimie. Na ostatnie przygotowanie do matury pojechała do Warszawy do wuja Stasia, z którym była bardzo zżyta. Ku jej zdumieniu i rozpaczy wuj kategorii odmówił gościny. **Potem okazało się, że powodem była jego praca konspiracyjna, za którą zapłacił życiem. Został aresztowany przez gestapo i zamordowany w Oświęcimiu w 1942 r.**

Ja natomiast, kilkuletnie dziecko, nie tylko nie mogłam pomagać, ale sprawiałam kłopoty. Pamiętam jak wychodziłam na małą karłowatą jabłonkę i płakałam zawodząc do utraty sił: ja chcę Tatuńka, ja chcę ciasteczko tortowe, ja chcę swoje łóżeczko i zabawki. Tata rozpieszczał mnie ponad wszelkie granice. Wiem z opowiadań stryja Rafała, że w czasie jego pobytu u Rodziców w Warszawie pocięłam nożyczkami kilim wiszący na ścianie. A Tata śmiejąc się powiedział: Nich się dziecko bawi.

Jutro kupimy nowy. Pamiętam, że w dzień, kiedy budziłam się rano, miałam koło łóżeczka nową czekoladową zabawkę. To tylko maleńkie epizodziki z mojego czteroletniego życiorysu przedwojennego. Nic więc dziwnego, że nie mogłam się pogodzić z nowymi, wojennymi warunkami.

W tym czasie przyszedł do Mamy pan Władysław Zapala, właściciel małej cukierenki „Złoty Ul” w ulicy Krakowskiej. Ponieważ Mama przed wojną najchętniej i najczęściej przebywała latem w Miechowie, a uwielbiała słodczyce, Tata zostawiał panu Zapale pokaźne sumy, aby przysyłał ciastka do ogrodu. Z ostatniego rachunku zostało 300 zł (równowartość dobrej pensji), o czym Mama nie wiedziała. Poczciwy cukiernik przyniósł te pieniądze. Mama zamiast podreperować swój nędzny budżet, popatrzyła na moją ciągle zapłakaną buzię i poprosiła pana Zapalę, aby nadal przynosił ciastka. Te smakołyki były nadal kupowane w sposób, który zapamiętałam jako tradycję.

Mama pracowała w ogrodzie niestrudzenie od świtu, ale nie lubiła robić codziennych zakupów i zwykle miał ją kto w tym wyręczać. Wychodziła do miasta tylko wtedy, gdy miała jakąś sprawę do załatwienia w urzędzie; czasem odwiedzała nieliczne przyjaciółki. Wówczas wracała zawsze do domu z paczką ciastek. Tak było w Miechowie, i w Nowym Dworze, gdy przyjeżdżała do nas i pomagała mi opiekować się dziećmi. Robiło się wtedy uroczystą herbatkę i degustowało przysmaki. A do stołu siadało się zawsze z wielką kulturą i szacunkiem dla Darów Bożych. Nawet w najtrudniejszych warunkach wojennych stół był ładnie nakryty, a przy każdym talerzu leżał mały kwiatusek polny. Należało też być schludnie ubranym.

Ale i ja w końcu dojrzałam do nowej sytuacji. Pamiętam swoje siódme urodziny. Mama i Hanusia złożyły mi życzenia, wytłumaczyły co to za uroczystość i dały w prezencie kilka cukrowanych galaretek. Spróbowałam jedną. Nie smakowała mi, ale zrozumiałam, że Mama i Hanusia pewnie dzisiaj nie jadły śniadania, aby za te pieniądze sprawić mi niespodziankę. Powiedziałam, że są pyszne i zjadłam wszystkie od razu.

Babunia Maria Broda z Kaliny Małej

Żyjąc w takich warunkach Mama w 1940 r. spotkała w gmachu Czerwonego Krzyża staruszkę, która wymagała opieki. Wojna rozproszyła synów, którzy się nią opiekowali. Mieszkała teraz w Kalinie Małej, wiosce oddalonej od Miechowa o 7 km, u syna rolnika, który sam borykał się z biedą. Mama bez wahania przyjęła ją do rodziny, prosząc Boga o to, aby ktoś udzielił pomocy naszemu Tacie, gdziekolwiek by się znajdował w zawierusze wojennej. Kiedy w 1946 roku kontakt z Tatą został nawiązany, okazało się, że w tym czasie kiedy Babunia (tak nazywaliśmy staruszkę Marię Brodę) zamieszkała z nami, groziło mu internowanie w Rumunii i jakaś obca rodzina rumuńska ukryła go i pomogła w przeżycie na zachód.

Znane mi są słowa wypowiedziane przez **kardynała Stefana Wyszyńskiego** do sióstr zakonnych, które opiekowały się ludźmi starszymi i chorymi: *Pan Bóg nie pozwoli człowiekowi wyprzedzić się w dobroci.*

Ta dobroć Boża była widoczna w życiu Mamy nie tylko w sytuacjach tak poważnych, jak przygarnięcie Babuni i pomoc udzielona Tacie przez obcych Rumunów, ale i w drobnych na pozór, sprawach dnia codziennego. Na przykład – Babunia była bardzo religijna i czuła potrzebę uczestniczenia we Mszy Świętej w każdą niedzielę. Lecz, ze względu na swój wiek, musiała mieć zapewnione miejsce siedzące w kościele. Wówczas był zwyczaj wykupowania sobie miejsca, na



Marianna Broda (1873 – 1948) w sadzie u Karpińskich.. Zdjęcie przysłała mi stryjenka Lubosza w liście z dnia 09.09.2003 r. (w przypisie 3 – list syna Juliana z Kresów w czasie II WŚ)

którym widniała tabliczka z nazwiskiem. Zaistniała taka sytuacja, że Mama miała wymaganą kwotę, ale równocześnie ja znosiłam ostatecznie swoje jedyne buty. Co robić? Czy opłacić miejsce dla Babuni, czy kupić buty dla mnie? Mama pomodliła się i poszła opłacić miejsce. A w dwa dni potem,

przechodząc ulicą, została poproszona do sklepu obuwniczego firmy „Batta”. Właściciel, który równocześnie prowadził punkt P.C.K. , ofiarował Mamie śliczne trzewiki dla mnie.

Nieraz - i jako młoda dziewczyna i dojrzała kobieta - zastanawiałam się nad tym, że Mama, jakby zgodnie z tą propozycją ciotek przed swoim ślubem, całe życie pomagała ludziom. „Rozdawała” – i wtedy, kiedy miała bardzo dużo i wtedy, gdy sama borykała się z biedą. I zawsze jej ofiarność była nagrodzona.

Babunia była z nami do 1946 roku, kiedy to wrócił z wojny jej syn Julian i wziął ją pod swoją opiekę. Drugi jej syn, Józef, uczestnik walk o Monte Cassino, wyjechał wraz z wojskiem amerykańskim i osiedlił się w Kanadzie, w Toronto. Tam odwiedziła go i poznała Hanusia w roku 1976. Babunia wprowadziła do naszego życia dużo dobrego. Była kochaną, pogodną staruszką. Umiała podejść ze zrozumieniem i pogodą do wszelkich przykrych spraw dnia codziennego. Poznałyśmy dzięki niej niektóre zwyczaje ludowe, związane zwłaszcza ze świętami Bożego Narodzenia. Przed wigilią Babunia ozdabiała ściany „wiechami” – małymi wiązkami zboża wraz z kłosami. Natomiast na drzwiach wejściowych do domu była przypięta, po mistrzowsku zrobiona, gwiazda ze słomy. Po Matce Boskiej Gromnicznej zaś(2-go lutego) paliło się te ozdoby w ogrodzie, aby były dobre plony.

W latach okupacji odwiedzał Mamę **inż. Tadeusz Lech**. Był bardzo zaprzyjaźniony z dziadkami Grzegórkami. Przyjaźń tę podtrzymywał również z Rodzicami. Gdy zobaczył u nas Babunię, był mile zaskoczony. Okazało się, że Babunia przed wojną była przewodniczącą komitetu rodzicielskiego i wielką działaczką na rzecz pomocy szkole. Jej dwóch synów: **Franciszek i Józef** zdali maturę w gimnazjum miechowskim.

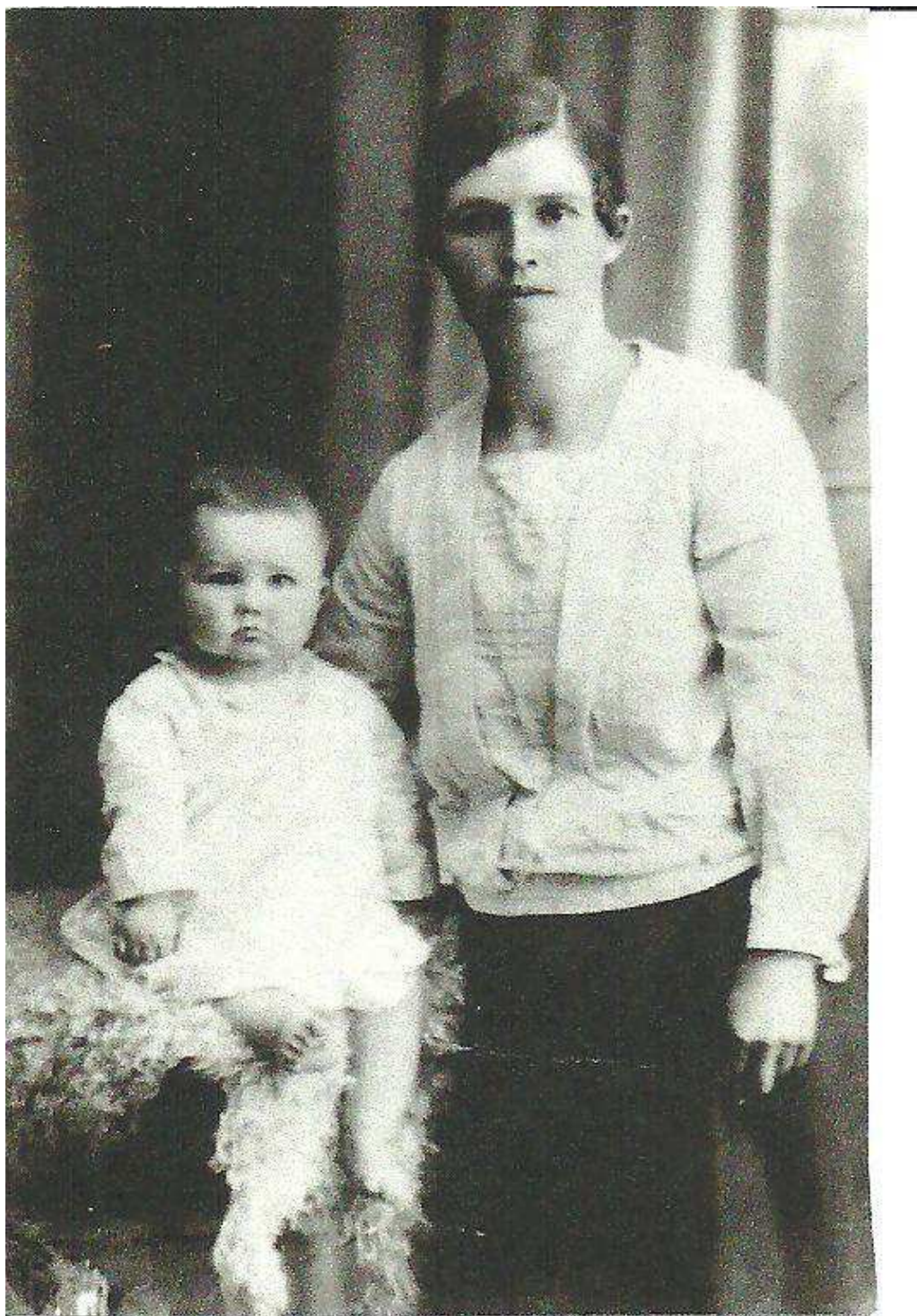
Dyrektora Lecha słabo pamiętam. Natomiast z tej starej kadry pedagogów miałam bezpośredni kontakt z profesorem **Franciszkiem Wyszkowskim**, dyrygentem orkiestry szkolnej, z panią profesor **Bronisławą Terlecką**, z panią profesor **J. Zaporską** i z księdzem dr **Bronisławem Świerszczewskim**. Pani Terlecka przyjaźniła się przed wojną z Rodzicami, a po wojnie była moją nauczycielką języka francuskiego w liceum. Przeżyła straszną tragedię. Jako młoda mężatka została opuszczona przez męża i samotnie wychowywała syna. **Władzio Terlecki**, w czasie wojny 20-letni młodzieniec, żołnierz Armii Krajowej, został zastrzelony przez Niemców. Dla osieroconej matki młodzież szkolna była teraz wszystkim. Zwolniono ją z obowiązku przejścia na emeryturę. Pracowała do śmierci, przekazując młodym ludziom cudowne ideały etyczno-moralne.

Panna Zaporska była kiedyś wychowawczynią Mamy. Również po drugiej wojnie pracowała w miechowskim liceum. **Obydwie panie uczestniczyły w czasie okupacji w tajnym nauczaniu.**

Ksiądz Świerszczewski wprawdzie nie uczył mnie religii, lecz w okresie międzywojennym był zaprzyjaźniony z rodzicami. Oto ja scharakteryzował go jeden z absolwentów: „wzór kapłana i pedagoga, wytarta sutanna, przekazywanie części wynagrodzenia na zakony, pozorna surowość, a przy bliższym poznaniu, dobroć serca i do tego świetna znajomość łaciny. Doktor teologii, kapłan ubogich, wzorzec katechety.” W każdą niedzielę odprawiał nabożeństwa w kaplicy szpitalnej (stoi do dziś), na które często chodziłam z Mamą.

Natomiast kochany staruszek profesor Wyszkowski uczył mnie gry na skrzypcach. W jego osobie czułam miłość swojego Taty. Przychodził do nas na lekcje ze mną do końca swego życia. Byłam z nim

w Krakowie na pogrzebie kardynała **Sapiechy**. Mama z całym zaufaniem oddała mnie pod jego opiekę. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Wawel i usłyszałam głos Dzwonu Zygmunta.



Kalina Mała, 1929 r. Przyszła teściowa Luboszy, Julianna Dąbrowska z Brodów, z synem Adolfem (mym późniejszym ojcem).

Natomiast w osobie Babuni Marii i opiece jaką otoczyła ją Mama znów uwidoczniła się Opatrzność Boża. Jedyna córka Babuni, Julia Dąbrowska mieszkająca w Kalinie, obarczona liczną

rodziną i po katastrofie pożaru, często nas odwiedzała. Jeden z jej synów, Stanisław, został w przyszłości moim Mężem.

Konspiracja i wspomaganie partyzantów

Tymczasem Hanusia wzięła na siebie nowy zaszczytny obowiązek: pracę konspiracyjną. Zaczęło się od tego, że w pierwszym roku wojny Mama uległa poważnemu zatruciu. Hania poszła szukać lekarza. Weszła do gabinetu opatrzonego wizytówką: *doktor medycyny Antoni Terajewicz*. Zaczęła rozmowę od tego, że Mama jest bardzo chora, ale ona nie ma pieniędzy na wizytę. Doktor kazał zaprowadzić się do pacjentki bez wahania. Po zbadaniu Mamy powiedział, że lekarstwa sam dostarczy. Wkrótce przyszła jego żona z lekami i koszyczkiem smakołyków dla mnie. Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Doktor był dyrektorem szpitala miechowskiego i organizatorem konspiracyjnej służby zdrowia na rzecz partyzantów. Hanusia już od czasów gimnazjalnych wykazywała zainteresowanie medycyną. Rozwinęło się ono w prawdziwe powołanie, gdy pewnego razu, przed wojną, przyjechała na wakacje do Miechowa i okazało się, że chłopiec z biednej wiejskiej rodziny z Komorowa, z którym często się bawiła, nie żyje. Uległ wypadkowi, a rodziców nie stać było na natychmiastową pomoc lekarską. Wtedy Hanusia postanowiła, że pójdzie na medycynę, aby udzielać pomocy w podobnych sytuacjach. Już jako uczennica gimnazjum, dzięki wpływom i znajomościom Taty, była wpuszczana do jednego ze szpitali warszawskich, gdzie pozwalano jej czasem asystować przy operacjach. Swoją wiedzę medyczną i powołanie rozwijała w szpitalu miechowskim, w którym spędzała każdą wolną chwilę. Wpadła też od razu w wir pracy konspiracyjnej. Asystowała Doktorowi w wyprawach do lasu niosąc pomoc rannym partyzantom. Była łączniczką między szpitalem i lasem. W samym szpitalu leczono wielu partyzantów pod zmienionymi nazwiskami. Leżeli zwłaszcza na oddziale zakaźnym, którego Niemcy bali się panicznie. Pamiętam jednego z nich, któremu wyrobiono dokumenty na nazwisko Karpiński i figurował na oddziale jako nasz krewny. Często odwiedzałam go z Mamą, która przynosiła mu pożywne rosółki z kurczaków. Niestety nie przeżył ciężkich ran, lecz zmarł w poczuciu własnej godności, wśród przyjaciół i został pochowany na cmentarzu miechowskim. Wkrótce z doktorem i jego żoną Zofią zawiązała się serdeczna przyjaźń. Bardzo pomogli Mamie w czasie okupacji. Po wojnie Tata rewanżował im się przysyłając z Anglii cenne książki naukowe.

Do grona wojennych przyjaciół Mamy i Hanusi należała też pani Mieczysława Wiejowska, żona przedwojennego starosty, którego Niemcy zastrzelili zaraz po zajęciu Miechowa oraz pani Dala Byszewska, dziedziczka Dziaduszyc koło Miechowa. Była to niezwykle dzielna kobieta. Sama gospodarowała w sporym majątku i brała czynny udział w konspiracji. Na furze z sianem przewoziła broń, sprytnie myląc czujność posterunków niemieckich. Pamiętam z opowiadań Hanusi dwa epizody. Zatrzymana i spytana co wiezie odpowiedziała: broń. Niemiec szpetnie zaklął pod adresem „głupiej baby” i kazał jechać. Innym razem, zimą, zaczęła użalać się nad biednymi żołnierzami i częstować ich papierosami. Furmanka pełna broni dotarła szczęśliwie do celu. Po wojnie została wywłaszczona; majątek oczywiście zrujnowano, a pani Wala przeniosła się do Krakowa, do córki. Z Mamą utrzymywała ścisły kontakt, a gdy obydwie były już zbyt słabe aby si ę odwiedzać, poprzestawały na korespondencji. Obydwie żyły prawie po 90 lat.

Do tego grona należeli też państwo **Grabowscy**. Przybyli oni do Miechowa, zaraz na początku wojny, ze Lwowa. Było to stare małżeństwo z dwoma córkami. Jedna z nich, **Cesia**, pracowała we Lwowie w klinice prof. **Gruiera**. Czym zajmowała się w Miechowie – nie pamiętam. Druga, **Ernestyna**, prawniczka; a jej mąż inżynier agronomii, pracował razem z teściem w urzędzie miejskim. **Obydwaj**

potrafili sprytnie uprawiać mały sabotaż fałszując dokumenty. W gronie tym była również pani mecenasowa **Gładyszowska**, serdeczna przyjaciółka Mamy i Hanusi. Przyjaźń tych ludzi i spotkania towarzyskie z okazji różnych uroczystości rodzinnych, to była Mama oaza na pustyni biedy, ciężkiej pracy i rozłąki z ukochanym mężem. Wszyscy oni, z wyjątkiem pani Gładyszowskiej, wyjechali po wojnie z Miechowa. Natomiast przybyła i zaprzyjaźniła się z Mamą pani **Kornelia Massalska**, żona powiatowego architekta i jej siostra **Helena Majewska** z mężem inżynierem budowlanym. Lecz z tego towarzystwa Mama była mniej zadowolona.

Mama i Hanusia urządzały w naszym mieszkaniu uroczyste obchody świąt narodowych: 3-go Maja i 11-go Listopada. Oczywiście w głębokiej konspiracji. Rosłam więc w atmosferze patriotyzmu, co pozwoliło mi zachować te piękne wartości w latach komuny, która robiła wszystko, aby z serc młodzieży wyrwać najświętsze uczucia religijno-patriotyczne. Ponieważ po rozpoczęciu działań wojennych byłam ochrzczona naprędce z wody, od 1942 roku zaczęto mnie przygotowywać do chrztu i równocześnie pierwszej komunii świętej. Mój chrzest odbył się 2-go lutego 1943 roku. Chrzestnymi rodzicami zostali: doktor **Antoni Terajewicz** i pani mecenasowa **Jadwiga Gładyszowska**. Pamiętam przyjęcie w ubogiej altanie po ceremonii w kościele. Byli obecni chrzestni rodzice z rodzinami, pani Wiejowska, państwo Grabowscy. Nie wiem jak oni pomieścili się w maleńkim pokoiku, ale było bardzo wesoło i rodzinnie. Miała miejsce również „atrakcja”. Mąż Ernestyny Grabowskiej, Michał, wysoki i barczysty mężczyzna, w pewnym momencie oparł się mocno głową o ścianę, a ta ugięła się i zaczęła wypadać. Całe towarzystwo rzuciło się do naprawiania szkody.

Ksiądz, który zajmował się moją edukacją religijną (był również obecny na przyjęciu) pełnił też rolę św. Mikołaja. Odkąd tylko sięgam pamięcią 6-go grudnia wstawałam z drzeniem szczęścia i emocji i cały dzień czekałam w napięciu. Gdy zapadał zmierzch przed domem rozlegał się głos dzwonka i do naszej chatki wchodził Święty Mikołaj, który na sankach przywoził prezenty. Wierzyłam niezachwianie w Świętego Mikołaja do 8 roku życia. Przeżyłam szok, gdy pewnego razu spostrzegłam, że broda odkleja się w jednym miejscu. Wtedy Mama wytłumaczyła mi istotę tego dnia. Dowiedziałam się, że św. Mikołaj to postać historyczna. Był człowiekiem bardzo zamożnym i cały swój majątek poświęcił dzieciom. Po śmierci został kanonizowany, a na pamiątkę jego działalności co roku 6-go grudnia dzieci obdarowuje się prezentami. Korzystają przy tym i dorośli. A wkrótce potem, w wigilię Bożego Narodzenia „aniołki” przynoszą pod choinkę prezenty na pamiątkę tego, jak pastuszkowie, a następnie trzej Królowie, obdarowywali Dzieciątko urodzone w Stajence Betlejemskiej.

Budujemy nowy dom, ale Tato nie wróci

Tymczasem stara altana, zbudowana jeszcze przez Dziadka Karola, nie wytrzymała nacisku czasu. Coraz częściej poszczególne fragmenty ścianek wpadały do środka, a Mama i Ruskowa łątały i podpierały. Ale Opatrzność Boża, jak zwykle, czuwała nad nami. Pod koniec 1941 roku Mama spotkała dawną koleżankę szkolną i poprosiła ją na herbatę. Pani Wisia była przerażona warunkami w jakich mieszkamy. Dostrzegła złożone w ogrodzie drzewo, gdyż Tata nosił się z zamiarem zbudowania w Miechowie solidnego letniego domu. Pani Wisia oświadczyła, że ma szwagra cieślę, który pracuje z dwoma dorastającymi synami i że oni zbudują nam z tego materiału jakąś porządną chatę. Mama kategorycznie odmówiła, bo nie mogła zapłacić za taką pracę. Niedługo potem od strony Komorowa

przyszło do nas trzech mężczyzn z siekierami i piłami na ramionach. Na nic zdały się protesty Mamy. Starszy pan **Tabaka** wyciągnął swoje spracowane dłonie w przyjaznym geście i powiedział: my nie przyszliśmy po pieniądze. Wkrótce na ukończeniu było solidne mieszkanko złożone z jednej izby, sieni i piwniczki. W tym czasie znajomi w Warszawie wystarali się o zwolnienie przez władze niemieckie gabinetu Taty. Hanusia pojechała do Warszawy i przy ich pomocy wszystko sprzedała. Mama dokupiła drzewa, a kochani Tabakowie postawili domek, który stoi do dziś. Izba postawiona w pierwszej kolejności jest kuchnią. Dobudowano jeszcze trzy pokoje, strych i dużą piwnicę. Ruskowa w tym czasie dostała mieszkanie w mieście, ale do końca swojego długiego życia pomagała Mamie w ogrodzie i służyła praktyczną radą.

Przeprowadzka do nowego domu nastąpiła w lecie 1943 roku. Babunia miała teraz swój pokój. Była przestrzeń i światło elektryczne. A Tabakowie przez długie lata pomagali Mamie w różnych naprawach i przeróbkach w gospodarstwie. Zbudowali też mały drewniany domek do pilnowania ogrodu. Dotąd służyła do tego celu „buda” – drewniane listwy ułożone w kształcie trójkąta i pokryte słomą. Potem domek ten służył za jedyny dach nad głową kilku rodzinom – ofiarom wojny. Młodszy z chłopców Tabaków, Tadeusz, pracował w tak zwanym sklepie niemieckim (tu, gdzie dzisiaj stoi dom towarowy „Kłos”). Były tam artykuły spożywcze dostępne tylko dla Niemców i folksdojczy. Mama w tym czasie rozchorowała się na woreczek żółciowy i była na ścisłej diecie. Jej skład można było jakoś wygospodarować oprócz białego pieczywa. W sklepach sprzedawano Polakom tylko czarny chleb na kartki. Tadeusz narażając się na poważne konsekwencje ukrywał co dzień kilka bułek i wracając z pracy przynosił je Mamie. Ogrodu nocą pilnowała głównie Hanusia; potem przy pomocy chłopców Tabaków.

Tadeusz po wojnie wyjechał na Śląsk. Natomiast z Józiem mamy stały kontakt. Mama nazywa go swoim synem. Dziś Józio ma uroczą żonę Elę, troje dorosłych dzieci i wnuki. On, jego rodzina, domek, który kiedyś zbudowali i ogród koło niego, to dla mnie przedłużenie epoki mojej Mamy. Epoki, która niezależnie od terroru okupacyjnego, a potem ciężkich czasów komuny, zachowała swój styl, atmosferę i tradycje Przodków. Mama rozpoczynała dzień od odmówienia pacierza. Potem krzątając się po kuchni lub – latem – od świtu pracując w ogrodzie, śpiewała godzinki i kiedy ranne wstają zorze. Pracowity dzień kończyła pacierzem i pieśnią: wszystkie nasze dzienne sprawy. W sobotę było generalne czyszczenie obuwia, pranie i prasowanie garderoby. Niedziela była dniem świętym i żadnych, nawet najdrobniejszych prac, nie wykonywało się. Tylko warunki atmosferyczne w lecie mogły naruszyć ustalony od pradziadów porządek. Jeśli na przykład w czasie żniw padały deszcze, a niedziela była pogodna, gospodarze szli na pierwszą Mszę Św. , a potem z **błogosławieństwem księdza** szli w pole zbierać chleb.

Szacunek dla chleba, tego podstawowego daru Bożego, zaszczipiony przez Mamę, pozostał mi na całe życie. Jeśli upadła kromka na podłogę, należało ją podnieść i pocałować. Okruszyny sypało się ptaszkom. A gdy znalazło się choćby skórkę leżącą na ziemi, należało ją podnieść i odrzucić na bok, aby zjadło ją jakieś zwierzę. W domu Pradziadków i Dziadków, gdzie chleb wypiekało się samemu, gospodyni, napoczynając bochenek , robiła na nim znak krzyża.

Pod koniec wojny Mama dostała od znajomych figurkę Matki Bożej przywiezioną z Lourdes. Józio zrobił dla niej prześliczną kapliczkę, która została umieszczona na drzewie koło drogi. W maju każdego dnia zbierała się pod nią grupa rodziny i sąsiadów i śpiewali pieśni maryjne pod przewodnictwem Mamy obdarzonej pięknym głosem.

Po latach, kiedy Mama zamieszkała z nami w Pomiechówku, Józio opowiadał następujące zdarzenie: gwałtowna burza i wichura powaliła stare drzewo. Kapliczka została rozbita, ale figura Matki Bożej nawet nie draśnięta. Józio zrobił dla niej nową kapliczkę i umocował ją na wkopanym w ziemię słupie. Całość ogrodził piękną metaloplastyką. Ludzie idący na cmentarz często się tam modlą. Ale chyba najwięcej wymodliła się ciocia Antosia, wdowa po wuju Stefanie, której Mama pomagała materialnie systematycznie, co miesiąc.

I tak ciężka praca i gospodarność Mamy i Hanusi oraz pomoc i życzliwość ludzka pozwoliły nam przeżyć okupację niemiecką. Od Taty przychodziły listy z Rumunii na początku wojny za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ale wkrótce kontakt został przerwany. Hanusia zdała maturę w 1945 roku i w tym samym roku wyszła za mąż. Zamieszkała w Książu Wielkim, 15 km od Miechowa, w pięknym dworcu, który ma swoją wzruszającą historię.

Ja z Mamą zostałam w Miechowie, oczekując wraz z zakończeniem wojny na powrót Taty. Listy od niego zaczęły dochodzić do nas w 1946 roku z Anglii. W czasie bitwy o Wielką Brytanię służył w dywizjonie poznańskim 302-gim, w personelu technicznym jako tłumacz. Pilot Wacław Król w swojej książce pt.: „W dywizjonie poznańskim” pisze, że sierżant Zygmunt Karpiński był jednym z filarów dywizjonu. Okazało się też, że wiele zdjęć zamieszczonych w tej książce, to jego dzieło. Potem rzucił się w wir pracy naukowej. Zrobił doktorat z chemii i pracował w urządzonym przez siebie laboratorium. Jego listy z Anglii były rozpaczliwe. Pisał: nie wyobrażam sobie jak przeżyłście wojnę. Każdego, kto wam cokolwiek pomógł, stokrotnie wynagrodzę. Pisał też o doktoracie z chemii i o tym, że będzie szczęśliwy, gdy zdobytą wiedzę odda Ojczyźnie. Na szczęście dotarła do niego informacja o tym, co sowietzi i ich pachołkowie w Polsce robią z patriotami, którzy walczyli na frontach zachodnich. Dzięki temu Tata ocalał życie, ale do nas już nie wrócił. W 1949 roku wyjechał do USA, gdzie przebywał jego brat, Wincenty, z żoną. Obydwoje pracowali w konspiracji i walczyli w Powstaniu Warszawskim. Zostali po upadku Powstania aresztowani i osadzeni w obozie, który wyzwolili Amerykanie. Po zakończeniu wojny wyjechali do USA. Tata osiedlił się w Stanie Indiana, w miejscowości South Bend. Poświęcił się całkowicie pracy naukowej. Wykładał na uniwersytecie chemię, matematykę i fizykę. Stryj Wincenty pisał, że po jakimś odczycie naukowym został wyniesiony na rękach słuchaczy z Sali wykładowej, a owacjom nie było końca. Swoją wiedzę oddał Amerykanom ogromne usługi. Zmarł w 1971 roku, lecz pamięć o nim przetrwała do dziś. Gdy w 1976 roku Hanusia będąc w USA zwiedzała uniwersytet, zaprowadzono ją do gabinetu Taty, który zachowano jako małe muzeum poświęcone jego pamięci. Pozwolono zabrać Hanusi na pamiątkę co zechce. Przywiozła ona stamtąd mały dzbanuszek i podstawkę w kształcie liścia koniczyny ze znakami uniwersytetu. Była też serdecznie podejmowana jako córka profesora Karpińskiego. Mama nigdy nie traciła nadziei, że zobaczy się z Tatą. Nadal utrzymywała się z ogrodu. Poza tym jeden pokój przeznaczala na stancję dla uczniów miechowskiego liceum. Młodzieży, która u nas mieszkała, zapewniała nie tylko wikt, ale była dla niej prawdziwą wychowawczynią i opiekunką. Świadczy o tym pismo, które dostała od dyrekcji szkoły jako wyróżnienie z wzorowo prowadzoną stancją.

Praca charytatywna po wojnie

Tata pomagał nam przysyłając poszukiwane wtedy lekarstwa. Mama włączała się też do pracy charytatywnej, której organizatorką i duszą była ciocia Jasia. Mama należała do harcerstwa od

najmłodszych lat. A ówczesny kodeks harcerski nakazywał co dzień spełniać dobry uczynek. Opiekowała się więc ludźmi starszymi, samotnymi, wykonując przy nich wszelkie usługi. Takie zresztą zasady były całkowicie zgodne z jej charakterem. Zaraz po 1-szej wojnie światowej, już jako mężatka, do chwili wyjazdu do Francji, prowadziła w Miechowie ochronkę (coś w rodzaju dzisiejszego przedszkola), rozdając dary Czerwonego Krzyża przede wszystkim dzieciom biednym. Czasem przez to narażała się zamożnym rodzicom, ale potrafiła skutecznie odpierać ich pretensje. **Ciocia Jasia** całe swoje życie poświęciła ludziom. Przed drugą wojną była w zakonie, lecz choroba kolana, która doprowadziła ją do trwałego kalectwa, nie pozwoliła jej złożyć ostatecznych ślubów. Cicha, niepozorna ciocia, chociaż z natury wesoła, dowcipna, utalentowana malarsko, była naszym dobrym duchem. Zawsze gotowa do pomocy, zawsze uśmiechnięta. Z czasów okupacji niemieckiej pamiętam ciocię, jak mieszkając razem z Babunią Michaliną w mieszkanku przy stodole, prowadziła swoje gospodarstwo. Pracowała w polu z wielką zręcznością pomimo sztywnej nogi. Hodowała krowę, niesforną krasulę, która często wchodziła w szkodę sąsiadowi z za miedzy. Zdarzało się, że rozsierdzony sąsiad uprowadzał krowę za wyrządzoną szkodę. Ciocia, widząc to, nie interweniowała. Gdy „komornik” oddalił się z krową na bezpieczną odległość, wydawała z siebie przeraźliwy gwizd, krasula robiła w tył zwrot i galopowała do właścicielki. Zaraz po wojnie ciocia wydzierżawiła swoje pole i poświęciła się pracy w Caritasie. A gdy władza ludowa zlikwidowała tę instytucję, prowadziła taką samą działalność prywatnie wraz z przyjaciółką, panną **Ziutą Kubacką** i lekarką **Marią Downarowiczową**.

Dzisiaj, po latach, gdy jestem na emeryturze i mam za sobą odpowiedni staż pracy zawodowej, zastanawiam się nad tym, jak te trzy kobiety przy pomocy kilku księży potrafiły objąć swoją działalnością całą parafię Miechowską. Tajemnica polegała chyba nie na doskonałej organizacji, ale i na umiejętności angażowania do pracy ludzi. Zawsze był ktoś, kto przewiózł chorego biedaka do szpitala, dowiózł księdza do chorych potrzebujących ostatnich sakramentów, kto by naprawił stare meble w domu, posprzątał, ofiarował świeżą bieliznę i ubranie, a poszczególne rodziny w określone dni tygodnia dostarczały obiady potrzebującym staruszkom i samotnym matkom. Po rozpoczęciu pracy w Caritasie Ciocia dostała mieszkanie w t. z. w. sali poklasztornej (budynek dawnego Zakonu Bożogrobców stanowiący jeden obiekt z kościołem). Przeniosta się tam, gdyż ciocia Zosia zabrała Babunię do Opola. W salach poklasztornych było kilka mieszkań przeznaczonych dla ludzi związanych z pracą w kościele. Kilka lat po wojnie Mama, szczęśliwa że przeżyliśmy wszyscy (choć Tata był daleko od nas!), postanowiła podziękować Bogu ubierając Grób Chrystusa kwiatami z ogrodu, które sama sadziła i pielęgnowała. Przygotowała kilkanaście wazonów różnych rozmiarów, wypełniła całą waniankę ciętymi kwiatami i - przy pomocy cioci Jasi - zaniosta do kościoła. Ubieranie zajęło prawie cały dzień. Nie była to prosta sprawa. Nadstawa nad symbolicznym Grobem ma ponad pięć metrów wysokości i około dwóch metrów szerokości. Na samą górę prowadzą schody, ale żeby dostać się do wielu gzymsów i poukładać na nich wazon z kwiatami, trzeba było ustawić drabinę i ciągle ją przesuwać. Efekt był tak wspaniały, że Mama, zachęcana jeszcze przez księdza proboszcza, postanowiła ubierać Grób co tydzień bezinteresownie kwiatami z ogrodu, a na 15-go sierpnia, w dniu Matki bożej Zielnej, kłosami zbóż. Ta piękna praca trwała około 10-ciu lat. Nigdy już potem grób Chrystusa nie był tak pięknie ubierany.

Mama, oprócz włączania się do pracy organizowanej przez ciocię Jasię, sama – jak zawsze! – pomagała ludziom. Pamiętam dwie nieszczęśliwe kobiety z odchyleniami psychicznymi, nad którymi roztaczała opiekę. Jedną z nich była **Władka** – bezdomna dziewczyna. Szła drogą koło naszego ogrodu broniąc się przed łobuzami, którzy wyśmiewali się z niej i obrzucali bryłami ziemi. Mama przepędziła

nieodpowiedzialną bandę i przyprowadziła Władkę do domu. Nakarmiona, wykąpana, odwszona i czysto ubrana całym sercem przylgnęła do Mamy, którą nazywała swoją „Mamusią”. Po kilku miesiącach pobytu u nas okazało się, że jest w ciąży. Zainteresowała się nią również Liga Kobiet. W końcu trzeba było umieścić Władkę w szpitalu. Panie z Ligi miały trudne zadanie, gdyż dziewczyna uznawała tylko swoją „Mamusię”. Skończyło się na tym, że Mama odwiozła ją do Krakowa sama i przekonała, aby ze swoim przyszłym dzieckiem pozostała w zakładzie opiekuńczym.

Drugą była **Maria**, kobieta w średnim wieku. Przebyte w dzieciństwie zapalenie opon mózgowych pozostawiło trwałe ślady w postaci upośledzenia umysłowego i wady wymowy. Miała nieprzyjemnie wykrzywione usta i wydawała z siebie bełkot, który rozumieli tylko najbliżsi i – oczywiście – Mama. Marię opiekowała się jej siostra, ale gdy była w pracy, kobieta wychodziła z domu narażając się na przykrości podobnie jak Władka. Właśnie w takiej sytuacji trafiła na Mamę. Maria, za zgodą swej siostry, całe dni przebywała u nas. Chętnie pomagała Mamie, jak potrafiła. W małych wiaderkach, specjalnie pod jej kątem kupionych, nosiła wodę i chodziła po zakupy z kartką. Gdy czasem Mama zdrzemnęła się w ciągu dnia, siadała cichutko koło niej odpędzając muchy. Była pod opieką Mamy kilka lat, a gdy Mama na stałe zamieszkała z nami, wkrótce zmarła.

Kiedy Hanusia przeniosła się do Książa, ja miałam dziewięć lat. Mama potrzebowała więc pomocy do prowadzenia naszego gospodarstwa. Pamiętam kilka ubogich wiejskich dziewcząt, które stale u nas mieszkaly i pomagały Mamie. Ale szczególnie zapamiętałam **Marysię Cygankównę**. Rodzice gospodarujący na trzech morgach ziemi i obarczeni licznym potomstwem, chętnie przysyłali ją Mamie do pomocy. Marysia szczęśliwa, że jest w mieście, pracowała z wielkim zapałem w naszym ogrodzie, a każdą wolną chwilę spędzała na przeglądaniu moich podręczników i zeszytów. Sama skończyła cztery klasy szkoły powszechnej. W tym czasie Hanusia pracowała w miechowskim wydziale oświaty. Pewnego razu przyniosła wiadomość, że władze oświatowe otwierają kurs uzupełniający wykształcenie podstawowe. Mama bez wahania ułatwiła Marysi naukę. Otrzymała ona nawet lekcje od znajomych nauczycieli. Po ukończeniu kursu Hanusia załatwiła jej przyjęcie do szkoły zawodowej w Krakowie. Dzięki otrzymanemu stypendium Marysia ukończyła szkołę i szczęśliwie wyszła za mąż.

Myślę, że wielu ludzi chciałoby tak pomagać bliźnim, lecz niewielu to potrafi.

Moja Mama, ja i Rodzina, którą ja założyłam

Po pierwszej wojnie dawna posiadłość Dziadków otrzymała nazwę ulicy „Słowackiego”, ale w tradycji ustnej były to dalej po prostu „Grzegórzki”. Bramy zamykającej wejście dawno nie było, a droga prowadząca od ulicy w pole, stała się publiczna, chociaż stanowiła własność prywatną należącą do poszczególnych działek. Ludzie chodzili tamtędy na cmentarz i na spacer w pole. **Pierwszy budynek od ulicy, to dawny dom Dziadków; po podziale własności w 1932 roku – własność cioci Marty**. A właściwie część domu, bo znaczną jego powierzchnię ciocia sprzedała wraz z kawałkiem działki. Stodoła z przyległym do niej mieszkaniem została rozebrana. Ciocia Marta i wujek Bolo (?) mają trzy córki: **Barbarę, Bożenę i Irenę**. Następną działka należała do wuja Stefana i cioci Antosi. W tej rodzinie było ośmioro dzieci: **Stefan, Krystyna, Maria, Karol, Józef** (zwany Dziudkiem), **Bronisława, Gabriela i Elżbieta**. Dalej była niezabudowana działka wuja Stasia. Ponieważ wujo z Oświęcimia napisał, że darowuje ją Hanusi, Mama całą okupację z niej korzystała. Potem rodzina

podzieliła ją między siebie. Następna działka, to własność Mamy. Usytuowana na wzniesieniu, z którego roztaczał się piękny widok na miasto i okolice. Potem znów niezabudowany teren cioci Heleny, która na stałe mieszkała we Francji. Tą działkę w czasie okupacji również użytkowała Mama, ponieważ Tata uregulował sprawę finansową z ciocią. Po wojnie użytkowanie przejęła ciocia Zosia w imieniu córek Heleny. Ostatnia działka zabudowana należała do cioci Józi. Słabo ją pamiętam, gdyż zmarła w 1943 roku osieracając czworo dzieci: **Jurka, Jacka, Elżbietę** i półrocznego **Januszkę**. Na tej działce kończyła się dawna część ogrodowo-warzywna. Reszta pola stanowiła własność Babuni Michaliny, cioci Jasi i cioci Zosi.



Rok 1961, 28 czerwca; mieszkanie Karpińskich w Miechowie. Zdjęcie z przyjęcia po „cichym” ślubie kościelnym Luboszy Karpińskiej i Stanisława Dąbrowskiego. Obok pana młodego siedzi mama Luboszy, Karolina Karpińska (z domu Grzegórzko). Rodzice Stanisława, Julianna i Franciszek Dąbrowscy, siedzą po stronie Luboszy (po lewej stronie zdjęcia druga i trzecia osoba). Za parą Młodych widzimy chrzestnego Luboszy, brata Pana Młodego, Józefa Dąbrowskiego. Reszta osób do rozpoznania.

Ja po 1945 roku kontynuowałam w liceum miechowskim naukę rozpoczętą w czasie okupacji na tajnych kompletach, a – po maturze – na Uniwersytecie Jagiellońskim. Do Krakowa dojeżdżałam pociągami. Miałam w dziedzinie edukacji dużo więcej szczęścia niż Hanusia. Czterokrotnie zdawała ona egzaminy na medycynę z wyróżnieniem i odmowną odpowiedzią przyjęcia. Byłyśmy przecież córkami „wroga ludu”, który nie wrócił po wojnie z Zachodu i nie dał się zamordować ubeckim

siepaczom. Hanusia, po latach już jako mężatka i matka czterech córek: Małgosi, Joasi, Martusi i Marysi, skończyła zaocznie historię, pokonując niesłychane trudności. Ja po studiach zaczęłam pracować w Miechowie. Staś Dąbrowski w tym czasie skończył szkołę oficerską we Wrocławiu. W 1960 roku pojechaliśmy razem do Kaliny, w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia i powiedzieliśmy jego mamie Julii o naszych zaręczynach. Kochana Dobra Mama, która zawsze bardzo mnie lubiła, popłakała się ze wzruszenia. 28-go czerwca 1961 roku odbył się nasz ślub w kościele w Niedźwiedziu (małej miejscowości między Miechowem a Krakowem). Wyjechaliśmy do Modlina – Twierdzy, gdzie Staś został skierowany do pracy. Po roku rozpoczął studia w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. 5-go września 1963 roku o godz. 23.10, we czwartek, urodziła się nasza córeczka Hania, a 16-go stycznia 1968 roku o godz. 3.20 rano, nasz synek Wojtuś. W tym czasie Staś, po ukończeniu WAT-u, podjął jeszcze studia w Wojskowej Akademii Politycznej na wydziale ekonomii.

Mama na miesiące zimowe przyjeżdżała do nas i opiekowała się dziećmi, gdy ja byłam w pracy, a jak podrosły, często zabierała je do Miechowa już na wiosnę. Była niezrównaną opiekunką, która oddała im nie tylko swoją wiedzę o prowadzeniu i wychowaniu dziecka, ale też całe swoje Wielkie, Kochające Serce. **W 1971 roku zmarł w USA nasz Tata.** Mama otrzymała wówczas wysoką jednorazową polisę i stała rentę, a Hanusia i ja pokaźną sumę 17-tu tysięcy dolarów. Hanusia kupiła działkę i dom w Pomiechówku. My zdecydowaliśmy się na budowę domu w Nowym Dworze. Mieszkaliśmy tam 10 lat. A potem Staś, inżynier budowlany z uprawnieniami projektanta, zbudował dom w Pomiechówku. Zdecydowaliśmy się na tę inwestycję ze względu na dzieci. Hania od 25-go grudnia 1982 roku była żoną wspaniałego chłopca, **Zenka Durki**, a Wojtuś – dorastającym do założenia rodziny – chłopcem. W wyniku tej przeprowadzki Hania i Zenek otrzymali mieszkanie w Warszawie. W tym czasie urodziła się nasza pierwsza wnuczka, **Matylda** (16-go września 1985 r.). Po dwóch latach dzieci przeniosły się do Legionowa, rodzinnego miasta Zenka. Tu 23-go września 1987 roku urodziła się **Oleńka**. Pod kątem Wojtusia i jego przyszłej rodziny został zbudowany dom w Pomiechówku. Na takie inwestycje nie wystarczyłaby suma, którą dostałam od Taty. Było to możliwe tylko dzięki Stasiowi, który swoją pracowitością, wiedzą i zaradnością pomnożył nasz majątek.

Ukochana działka Mamy w Miechowie od dawna przeznaczona była do wywłaszczenia w związku z rozbudową miasta. Na kilka lat przed ostatecznym wywłaszczeniem Mama zameldowała w swoim domku syna Józia Tabaki. Tabakowie wyremontowali domek i opiekują się nim do dziś, chociaż działka jest już wywłaszczona, a młodzi dostali mieszkanie w pobliskim bloku. Na polach, po których biegałam w dzieciństwie, zbierałam maki i chabry wśród zbóż, powstało nowe osiedle mieszkaniowe zwane Osiedlem im. Gen. Sikorskiego. Mama natomiast przeniosła się na stałe do nas. Dzięki jej pomocy na przestrzeni lat, mogłam się poświęcić swojemu ukochanemu zawodowi nauczycielskiemu. Potem w Pomiechówku Mama wypoczywała i prowadziła swój własny tryb życia, a my opiekowaliśmy się nią. Swoją wysoką emeryturą zagraniczną dzieliła się z nami. Systematycznie też pomagała cioci Antosi. **W Pomiechówku Mama z nami spędziła ponad 5 lat. Zajmowała duży pokój na górze, z widokiem na las i dom Hanusi, w którym mieszka Asia z rodziną. Sprawiało jej wielką przyjemność, gdy stojąc na tarasie mogła rozmawiać z Asią, Tomkiem, Madzią i Mateuszem, którzy byli na podwórku, że miała wokół siebie swoich najbliższych.** Gdy kiedyś musiała pracować w ogrodzie na utrzymanie, wstawiała o świcie. Zimą tylko rozkoszowała się ciszą nocną, wśród której modliła się, czytała i wspominała swoją szczęśliwą przeszłość. Teraz mogła oddać się całkowicie wszystkiemu co kochała i co czyniło ją szczęśliwą. Ja już nie pracowałam i opiekowałam się Mamą. Chociaż ona niemal do końca życia była sprawna i samodzielna. Od lat okupacji zaczęła pisać wiersze, ale nie chciała

przyznawać się do ich autorstwa. Ja przepisywałam je swoim pismem, a Mama bardzo lubiła odczytywać tę poezję rodzinie i znajomym. Dopiero wiersze, które napisała w Pomiechówku, czytała nam jako swoje własne.

Mama do późnych godzin nocnych modliła się, czytała, rozkoszowała swoimi pamiątkami. Bardzo lubiła światło, które w Jej pokoju paliło się całą noc. Po takiej uczcie duchowej długo spała i koło południa jadła śniadanie. Przez kilka pierwszych lat naszego pobytu w Pomiechówku jeździła z nami do kościoła. Lecz potem zaczęło to być zbyt męczące. Słuchała w niedzielę Mszy Św. w radio. Już w sobotę biurko na którym ono stało przybrane było na ołtarzyk. Przed transmisją zapalała świecę i czynnie uczestniczyła w nabożeństwie. Raz w miesiącu, a czasem częściej, zależnie od samopoczucia Mamy, przyjeżdżał ksiądz z Komunią Św. Raz w tygodniu był lekarz, który leczył Mamę w Nowym Dworze. Teraz systematycznie sprawdzał stan jej zdrowia. Józio Tabaka zrobił karmnik specjalnie przystosowany do ustawienia na tarasie, na wprost okna balkonowego. Mama już od rana, leżąc w łóżku, mogła obserwować swoje kochane ptaszki, które każdego dnia dostawały karmę, a zimą słoninę. Po południu schodziła na dół na telewizję. Latem spacerowała po lesie lub przebywała w ogródku. Lubiła siadać na huśtawce, którą przed laty zamówiła w Miechowie dla małej Hani i Wojtusia. Huśtawka została przewieziona do Nowego Dworu, a potem do Pomiechówka. W maju 1989 roku przyjechał Józio i przywiózł kapliczkę zrobioną przez siebie z figurką Chrystusa Miłosiernego. Mama go o to prosiła. Długo spacerowaliśmy po lesie we trójkę szukając odpowiedniego miejsca na jej zawieszenie. W końcu została umocowana na ogromnej akacji niedaleko naszego domu.

Pod koniec lipca Mama przewróciła się i odtąd zaczęła gwałtownie słabnąć. Pielęgowaliśmy ją na zmianę z Asią. 12-go września przyjechał Józio. Mama, która już prawie nie mówiła i nie podnosiła się, chwyciła go za rękę, uniosła się, a twarz promieniowała Jej radością, której nigdy nie zapomnę. **Zmarła 15-go września 1989 roku o świcie, w dzień Matki Bożej Bolesnej.** Zgodnie ze swoim życzeniem, została pochowana w Nowym Dworze, obok swojej Matki Michaliny z Koperskich Grzegórkowej (której prochy sprowadziliśmy w związku z kasacją cmentarza w Opolu, na którym spoczywała) w miejscu, które sama dawno wybrała. Kochała nas wszystkich tak bardzo, że Jej miłość, a tym samym obecność wśród nas, czujemy zawsze. Nawet mała Olunia, gdy kiedyś opowiadałam jej o Prababci, powiedziała: ja kocham Babunię Lolę. Wojtuś jeszcze za życia Mamy poznał śliczną dziewczynę **Małgosię** i chociaż obydwójce byli wtedy uczniami, Mama wierzyła niezachwianie w to, że zostaną małżeństwem. Niespełna rok po Jej odejściu, **odbył się ślub Małgosi i Wojtka, 4-go sierpnia 1990 roku.** 16-go stycznia 1991 roku urodziła się Olunia, a 13-go maja 1994 roku – **Piotruś.**

Mieszkając w uroczym Pomiechówku, koło lasu, na łonie przyrody, rozkoszując się życiem rodzinnym, ze czcią i szacunkiem przechowuję pamiątki rodzinne zgromadzone przez Mamę. **Józio Tabaka zrobił dla nich przepiękny kuferek.** Jest ich niewiele. Ocalały z pożogi wojennej tylko te, które były w Miechowie. Mama gromadziła też różne skierowania lekarskie, wyniki badań, recepty itp. Wszystko czego dotyczyły Jej ręce, a co nie stanowiło wartości pamiątkowej, spaliłam na kominku, a popiół rozrzuciłam w ogródku. Garderoba natomiast została rozdana ludziom potrzebującym w Miechowie.

Lubię otwierać artystycznej roboty kuferek i zagłębiać się w przeszłość. Czuję, że ona tkwi we mnie i daje mi poczucie zrozumienia teraźniejszości. Niedawno ukazała się książka zatytułowana „A r y s t o

k r a c j a” opisująca gehennę polskich rodzin magnackich w czasie – i po ! – wojnie. Zacytuję fragment, który dał mi wiele do myślenia:

„Im wyższa klasa człowieka, im większego luksusu doznał, im z wyższego rodu pochodzi, tym mniej boi się brykającego konia i tym mniej boi się... brykającego życia.”

Moi przodkowie nie pochodzili z wielkich rodów, ale takie wartości, jak umiłowanie ziemi ojczystej, religijność, poczucie wspólnoty z ludźmi, to wielki dar dla tych, którzy chcą go przyjąć. Myślę, że Pradziadkowie Koperscy, Dziadkowie Grzegórkzi i Rodzice Karpińscy potrafili pokonywać „brykające życie” dzięki temu, że ten dar przyjęli.

Lubosza z Karpińskich Dąbrowska

Pomiechówek, 1995 rok

*

*

*

Z kserokopii rękopisu przepisał, śródtytuły dodał oraz niektóre fragmenty tekstu zaakcentował J. Alfred Dąbrowski. **Dobrze by jeszcze było, do tego tekstu dołączyć wybór opisanych zdjęć, spośród tych z albumów zdeponowanych w wiadomym kuferku, zrobionym przez Józia Tabakę z Komorowa.** Rzeszów, sierpień 2014 r.

Lubosza Dąbrowska

Suplement do *Kroniki trzech pokoleń*

Z pamięci o Bliskich utkana jest nasza własna tożsamość

Tym spośród moich Bliskich, którzy tego nie rozumieli, dedykuję cytaty z powieści J. I. Kraszewskiego *Lublana*:

Co stare to szanuję, a choćbym obyczaju nie rozumiał chowam go, aby nie zginął, boć może inny z niego dobyć to, czego ja nie potrafię.

Papież Jan Paweł II

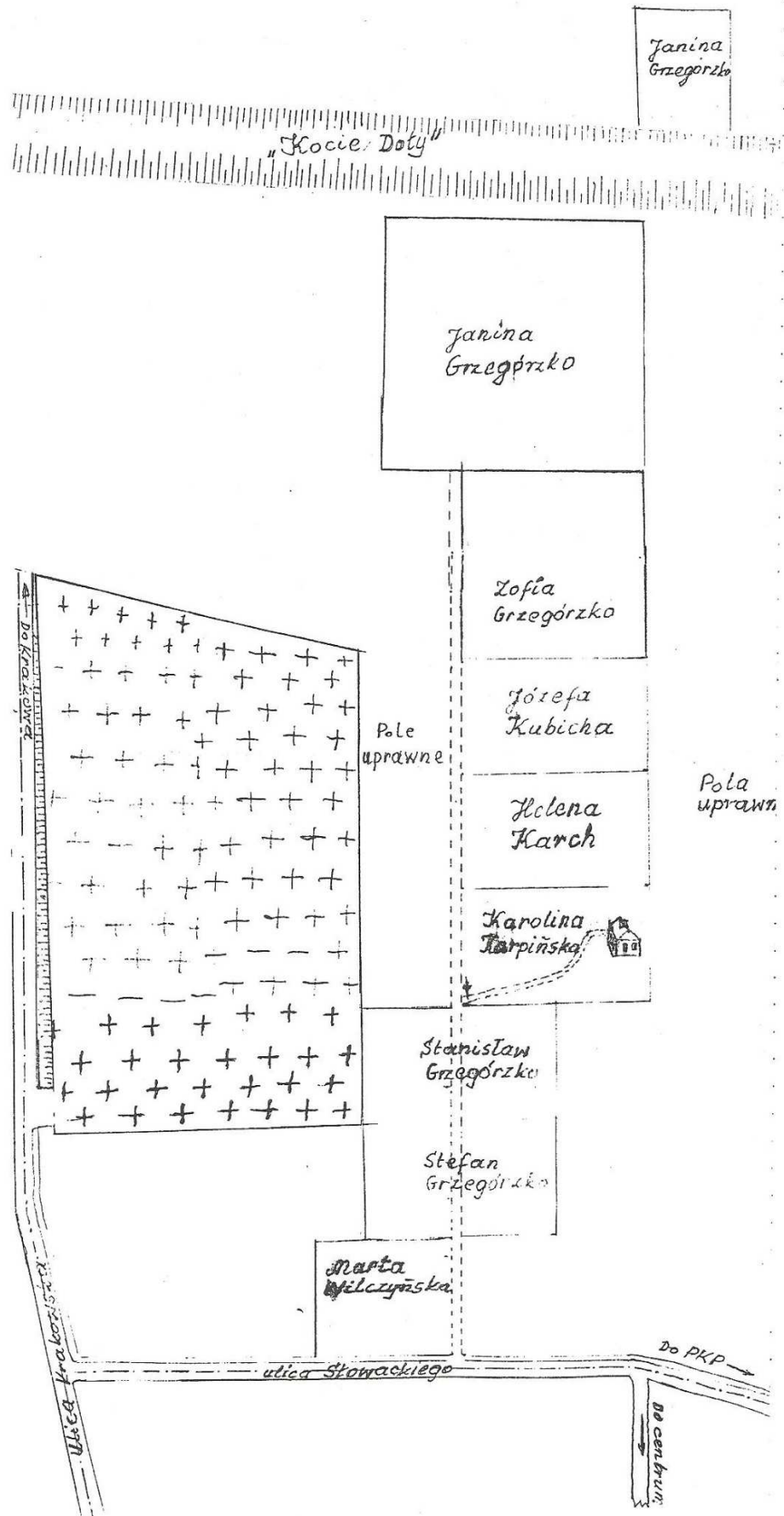
Cytat ze słowa pożegnania na lotnisku w Balicach 10 czerwca 1997 roku:

Wierność korzeniom nie oznacza mechanicznego kopiowania wzorów z przeszłości. Wierność korzeniom jest zawsze twórcza, gotowa do pójścia w głąb, otwarta na nowe wyzwania, wrażliwa na znaki czasu. Wyraża się ona także w trosce o rozwój rodzimej kultury, w której wątek chrześcijański obecny był od samego początku. Wierność korzeniom oznacza nade wszystko umiejętność budowania organicznej więzi między odwiecznymi wartościami, które tylekroć sprawdziły się w historii, a wyzwaniami współczesnego świata, między wiarą a kulturą, między Ewangelią a życiem. Życzę moim Rodakom i życzę Polsce, aby właśnie w ten sposób umiała być wierna sobie i korzeniom z których wyrosła.

Miechowskie Grzegórzki

Warszawa – miła, czysta, przytulna, kulturalna Stolica, nasze luksusowe mieszkanie na Narbutta, a potem na czerniakowskiej; służbowa willa w Legionowie, wspaniali Rodzice, kochający siebie nawzajem i swoje dwie córki – wszystko to jawi mi się, jak cudny sen, który znam prawie wyłącznie z opowiadań. Natomiast to, co zarejestrowała moja pamięć, to mała altanka, a potem drewniany domek w samym sercu dawnej posiadłości Dziadków Grzegórków; małe podwórko koło domu, kozy, kury, a dookoła ogrodu pola falujące łanami zbóż, pachnące polnym kwieciem.

W ogrodzie mnóstwo kwiatów, długa aleja wysadzana czerwonymi i białymi porzeczkami, drzewa owocowe, warzywa, a nieco dalej – widoczne ze starego cmentarza – potężne lipy i kasztany; ptaszki



śpiewające od wschodu słońca, **wspaniały widok na miasto położone nieco niżej, jakby w kotlinie i górująca nad nim okrągła kopuła na wieży kościoła Bożogrobców oraz bardzo daleki widok na pagórkowatą okolicę.** Gdy byłam nieco starsza, Mama pozwalała mi wstawać w nocy i podziwiać robaczki świętojańskie. A gdy zima – wszystko pokryte śniegiem, który w mroźnym słońcu lub blasku gwiazd mienił się kolorami tęczy i kryształów. Wtedy prawdziwą przyjemnością było bieganie do kościoła na roraty, na godz. 6.00 rano. Nigdy też nie zapomnę wigilii i pasterki w Miechowie. Cały domek już na dzień przed wigilią błyszczał idealnie wysprzątany, a menu przygotowane na całe święta, kusiło poukładane w zimnej sionce, która pełniła rolę lodówki.

Gdy zabłyśła na niebie pierwsza gwiazdka, zasiadałyśmy z ciocią Jasią, a czasem i z Zosią, do pięknie przybranego wigilijnego stołu, wśród blasku świec zapalonych na choince i na stole Mama odmawiała modlitwę, a potem dzieliliśmy się opłatkami. Dwa miejsca były zawsze nakryte, ale puste: dla Taty i dla podróżnego, który by niespodziewanie wszedł do domu. Pod choinką widoczne były prezenty. Na pasterkę chodziły najczęściej dzieci, które już od godz. 23.00 zwoływały się na Grzegórkach. Mróz szczypał w twarz, każdy krok znaczyło skrzypienie zmarzniętego śniegu. Idąc patrzyłam na rozgwieżdżone niebo i wydawało mi się, że widzę Gwiazdę Betlejemską, która prowadzi mnie do kościoła. A pasterka to było niezapomniane i niepowtarzalne przeżycie. Do Ewangelii panowała cisza, przerywana jedynie uroczystym głosem księdza odprawiającego nabożeństwo. Po Ewangelii, która obwieściła Narodzenie Dzieciątka, rozdzwaniały się wszystkie dzwony, dzwoneczki, sygnaturki, a z chóru potężny głos organów rozpoczynał kolędę *Bóg się rodzi*. Potem znów skrzypienie śniegu – wracam do domu. Rano biegałam sprawdzić czy kozy, kury, ptaszki, zajączki zjadły opłatek wystawiony dla nich. A czy mówiły wtedy ludzkim głosem do siebie, nigdy nie udało mi się ustalić.

I chociaż urodziłam się w Warszawie, jestem dzieckiem tych pól ukwieconych, tej urzekającej przyrody, a po Babuni Michalinie, która uwielbiała Gawroniec, odziedziczyłam też miłość do lasu. Gdy przenika mnie jego cisza tętniąca życiem (?), gdy patrzę na korony wysokich sosen kołyszące się na wietrze, doznaję uczucia, które tak oto pięknie określiła Ania z Zielonego Wzgórza:

Las był chyba pierwszą świątynią Boga. W lesie opanowuje człowieka nastrój uwielbienia i czci. Kiedy jestem wśród sosen, zdaje mi się, że zbliżam się do Boga.

Mama o swojej ukochanej ojcowiznie mówiła: moja święta ziemia. Pracowała na niej niestrudzenie, lecz nie była w stanie uprawiać jej sama, zebrać owoców, prowadzić jednocześnie gospodarstwo domowe. Do pracy w ogrodzie najmowała na dniówki. Lecz nie mogli to być ludzie przypadkowi, o niepewnej reputacji. **Odkąd sięgam pamięcią, oprócz pocziwej Ruskowej, pracowała u Mamy Bielecka oraz Jan i Golec. Bielecka urodziła się w czworakach.** Ciężkie warunki życia zahartowały jej zdrowie, a uczciwością i pracowitością wzbudzała podziw i szacunek. Przychodziła do pracy w ogrodzie niemal do 90-go roku życia, ale nikt nie dawał jej więcej niż 60 lat. Nigdy nie chorowała, nie chodziła do dentysty, żeby miała *jak perełki*, a spod chusteczki na głowie wysuwały się czarne, gęste włosy. Żyła ponad sto lat. Gdy Mama na stałe zamieszkała z nami w N. Dworze i Pomiechówku, Bielecka była pod opieką swojej wnuczki i za jej pośrednictwem (pisać nie umiała) przysyłała Mamie systematycznie serdeczne kartki z życzeniami.

Jan był samotnym starszym człowiekiem. Za pracę w ogrodzie zażądał mniejszej stawki, niż wynosiła wtedy dniówka, a pracował bardzo solidnie. Gdy Mama zwróciła na to uwagę, odpowiedział: *moja praca nie jest tak wydajna jak młodego człowieka. Nie mogę więc brać więcej pieniędzy*. Mama nie raz dziwiła się, że samotny człowiek tak dużo pracuje. A okazało się, że Jan

systematycznie, co miesiąc, posyłał pieniądze, poprzez Misję, do Indii, na utrzymanie biednej, wielodzietnej rodziny.

Golec mieszkał w Komorowie. Opiekował się chorą żoną i prowadził niewielkie gospodarstwo. Dorabiał na leczenie żony pracując u Mamy.

W okresie wzmożonych prac sezonowych do pomocy przychodziły dzieci i wnuki Ruskowej i Bieleckiej. Nie można pominąć szlachetnej kobiety, pani Nowackiej. Była krawcową i mistrzynią w łątaniu, sztukowaniu, przerabianiu. A takie zamówienia otrzymywała od Mamy. Pani Nowacka zatrudniała kilka uczennic, młodych dziewcząt. Gdy spostrzegła, że podśmiewają się, iż pani inżynierowa przynosi talie łąch, szyła dla Mamy sama nocami. Na starość Mama opiekowała się nią na zmianę z jej wnuczką.

Za nami, w stronę kocich dołów , była działka cioci Heleny. Nigdy jej nie widziałam i nic o niej nie wiem. Ale musiała być bardzo dzielna, skoro jako młoda mężatka, z dwójką małych dzieci, wyemigrowała do Francji. Ze starej fotografii z roku 1926 patrzy na mnie śliczna kobieta: ciocia Helena. Z jej działką graniczyła posiadłość cioci Józi, świetnie zagospodarowana, z dużym murowanym domem i zabudowaniami gospodarczymi. Na Grzegórkach ciocia słynęła jako wzorowa gospodyni. Zmarła młodo, w 1943 roku, w wieku 35 lat. Ponieważ idąc do miasta musiała przechodzić koło naszej działki, zapamiętałam jej sylwetkę: wysoka, zgrabna, z naturalnie skręconymi włosami wokół pięknej twarzy, zawsze elegancko ubrana. Podziwiałam jej kostium ślicznie dopasowany do figury z zarzuconym wokół szyi srebrnym lisem.

Na tej działce kończyła się dawna część ogrodowo-warzywna i zaczynało się pole sięgające nieco poza Kocie Doły. **Było ono własnością cioci Zosi i cioci Jasi. Ciocia Zosia – ciekawa, skomplikowana osobowość, we wnętrzu której ścierały się różne szlachetne uczucia wraz z nieokiełznanym temperamentem.** Jako młoda dziewczyna miała narzeczonego pilota, który zginął tragicznie. Zrozpaczona cioteczka wstąpiła do zakonu. Przeżyła w nim kilka lat w ustawicznym konflikcie z matką przełożoną. Ślubów ostatecznych oczywiście nie złożyła. W tym czasie Rodzice mieszkali w Warszawie i ciocia po zakończeniu nowicjatu zatrzymała się u nich. Była śliczna, elegancka, pięknie śpiewała, jak zresztą wszystkie Grzegórkówny. Bogate życie towarzyskie jakie prowadzili Rodzice wciągnęło ją całkowicie. Wesoła, dowcipna – była ozdoba salonów. Do wybuchu wojny wykładała matematykę w jednej z prywatnych szkół. Warunki wojenne wydobyły z niej nowe umiejętności: brawurę i zmysł handlowy. Wróciła do Miechowa i zajęła się handlem zakazanym towarem: wędliną, mięsem itp. Kpiąc z posterunków i kontroli niemieckich przewoziła żywność do Warszawy i początkowo do Lwowa. Nawet w czasie Powstania potrafiła dotrzeć z żywnością do ludzi i pomagać im.

Po zakończeniu wojny zagospodarowała się na tzw. ziemiach odzyskanych w Opolu. Prowadziła jakiś sklep, jakiś bar, bibliotekę i Bóg tylko wie co jeszcze. Handlowała przy tym zagraniczną odzieżą i czym się dało. Aby utrzymać mieszkanie wywiozła z Miechowa Babunię Michalinę i zameldowała u siebie. Pieniądze umiała robić, ale zupełnie nie potrafiła ich wykorzystać ani dla siebie, ani dla bliźnich.

Pewnego razu przyjechał do Opoli Dziadek Grzegórzko. Cioci nie było w domu, a Babunia trzęsła się z zimna okryta kocami na łóżku. Dobry, wesoły Dziadek najpierw rozpałił w piecu, potem zakrzętnął się koło kolacji. „Bomba wybuchła” gdy przyszła ciocia. Okazało się, że w piecu miała schowane pieniądze, które oczywiście poszły z dymem.

Pewnego razu, za jakąś nielegalną działalność handlową, ciocia została aresztowana. Przesiedziała w więzieniu kilka dni, ale udało jej się przesłać wiadomość Eli i Jurkowi Kubichom, którzy studiowali w Opolu. Na prośbę Cioci młodzież weszła do domu. Bałagan i kurz kłuły w oczy i nozdrza. W jednym rogu pokoju stały poukładane kapelusze męskie, jeden na drugim. Zirytowany Jurek kopnął tę piramidę, z której zaczęły sypać się pieniądze.

Na koniec ciocia zapalała miłością do ziemi. Przyjechała do Miechowa i zajęła się gospodarowaniem. Mieszkała trochę u cioci Marty, trochę u Jasi. A kiedy siostry miały jej dosyć, kupiła cygański wóz, ustawiła na działce cioci Heleny, którą uprawiała w imieniu jej córek i zagospodarowała się na dobre. Kontraktowała buraki cukrowe, skorzonę i inne poszukiwane wtedy warzywa. A Hanusia pewnego razu znalazła w ogrodzie autentyczną pończochę wypchana pieniędzmi. I tak jako rolniczka ciocia zakończyła życie na ojcowiznie.

Całkowitym jej przeciwieństwem była ciocia Jasia. Wiele już o niej napisałam. **Dodam tylko, że również rozpoczęła swój start w klasztorze, ale z zupełnie innego powodu.** Jako młodzieńca dziewczyna zakochała się bezgranicznie w żonatym mężczyźnie. Ani matka, ani – przede wszystkim – on sam, nie śmiali o tym wiedzieć. Tajemnicę tę wyjawiała ciocia, po wielu latach, Eli Kubichowej, z którą była bardzo zżyta. Wrażliwa, delikatna, dobra ciocia z pewnością pozostałaby w zakonie na całe życie, gdyby nie choroba i kalectwo.

Z przeciwnej strony idąc, w kierunku miasta, ogród Mamy graniczył z działką wuja Stasia. Był najmłodszym dzieckiem Dziadków. Gdy Rodzice wrócili z Francji, był młodym, zrozpaczonym chłopcem, że Babunia nie miała środków materialnych, aby go kształcić. Tata zabrał wuja do Warszawy i posłał do gimnazjum, które najmłodszy Grzegórzko ukończył z wyróżnieniem. Po maturze zaczął pracować, studiując równocześnie na politechnice. Był bardzo zdolny i pracowity. Należał do klubu szybowcowego. Skonstruował jakąś przekładnię do spadochronu. Hanusia wspominała też o udoskonaleniach tramwajowych i innych. Zapowiadał się na wielkiego konstruktora.. Chociaż mieszkał u Rodziców kilka lat, nie pamiętam go zupełnie. Po wybuchu wojny rzucił się w wir pracy konspiracyjnej, za którą zapłacił życiem – został zamordowany w Oświęcimiu w 1942 roku.

Idąc w tym samym kierunku w stronę miasta, działka wuja Stasia graniczyła z ogrodem wuja Stefana. Był on całkowitym przeciwieństwem młodszego brata, jeśli chodzi o naukę. Dziadkowie mieli bardzo ambitne plany co do kształcenia pierworodnego syna, ale jemu ani się śniła edukacja. Zapisany do gimnazjum wychodził z domu z książkami i zamiast do szkoły, wchodził na cmentarz od ulicy Krakowskiej, książki chował w starej mogile Gdeszów i bujał po polach. Gdy Dziadkowie to odkryli, zrozumieli, że trzeba go po prostu wyuczyć jakiegoś zawodu. Wówczas prosperowała w Miechowie fabryka kafli Chodnikiewiczów, przy której uczono młodych chłopców fachu zduna. Wuj Stefan tam rozpoczął edukację. Był zdunem artystą, ale niechętnie wykonywał swój zawód. Natomiast jego pasją były pszczoły i w ogóle przyroda. Koło domu stały ule zrobione na wzór pasieki Dziadka Karola, a koło każdego ula maleńki ogródeczek obsadzony kwiatami miododajnymi. Te ogródeczki pielęgnowała ciocia Antosia. Cała działka obsadzona była żywopłotem, który wuj Stefan misternie przycinał parę razy w roku. Sikorki miały zapewnioną słońcę przez całą zimę. Wisiła ona na wprost okna, aby wuj Stefan mógł obserwować ptaszki. Gdy przychodziło miodobranie, zwoływane były wszystkie dzieci z Grzegorzówki i częstowane miodem. Zmobilizowany do służby wojskowej w 1939 roku, był w Rumunii, lecz udało mu się wrócić i do końca życia gospodarował na swojej ojcowiznie, dorabiając jako zdun.

Frontowa działka była własnością cioci Marty. Ciocia uchodziła w rodzinie za zmarnowany talent. Miała cudny, operowy sopran. Niestety tylko na własny użytek. Do 1932 roku była dyrektorką banku w Będzinie. Miała piękne służbowe mieszkanie i wspaniałe warunki materialne. W czasie podziału majątku wywalczyła front i przeniosła się do Miechowa. Były to lata wielkiego bezrobocia. Intratną pracę straciła, a działka nie dawała utrzymania. Wuj Bolo, po usilnych staraniach, otrzymał pracę z niewielkim uposażeniem. I tak ciocia Marta do końca życia walczyła o byt. Wuj Bolo miał talent artysty rzemieślnika. W tych czasach klamki, wykończenia łóżek, różne uchwyty itp. robiono z mosiądzu. Wuj zbierał stare części mosiężne i robił z nich śliczne lampy, i inne ozdoby, na sprzedaż. U cioci Marty była „szatnia obuwia”. Gdy padał deszcz, droga na Grzegórkach stawała się błotnista. Idąc do szkoły, czy w ogóle do miasta, zakładało się gumki, czyste buty brało w rękę i zmieniało u cioci Marty, a od niej już wychodziło się na ulicę.

Inspiracją do spisania dziejów rodzinnych była kronika pana Kulera, którą odnalazł Zbyszek Kruczek – wnuk Stefana Grzegorzki – w starym, opuszczonym domu wuja. Było to jedyne źródło pisane, jakim dysponowałam. Życie rodzinne Dziadków Grzegórków oparłam na wspomnieniach Mamy, które starałam się uporządkować chronologicznie i opatrzyć komentarzem historycznym. Okres międzywojenny odtwarzałam głównie dzięki siostrze, Hanusi, która wypełniała luki poprzez rozmowy telefoniczne z Canady. Natomiast lata wojny i komuny to moje własne przeżycia. **Czego nie wiedziałam w czasie pisania kroniki, uzupełniłam opisując zdjęcia w albumie, który jest jej ilustracją fotograficzną.**

Lubosza Dąbrowska

*

*

*

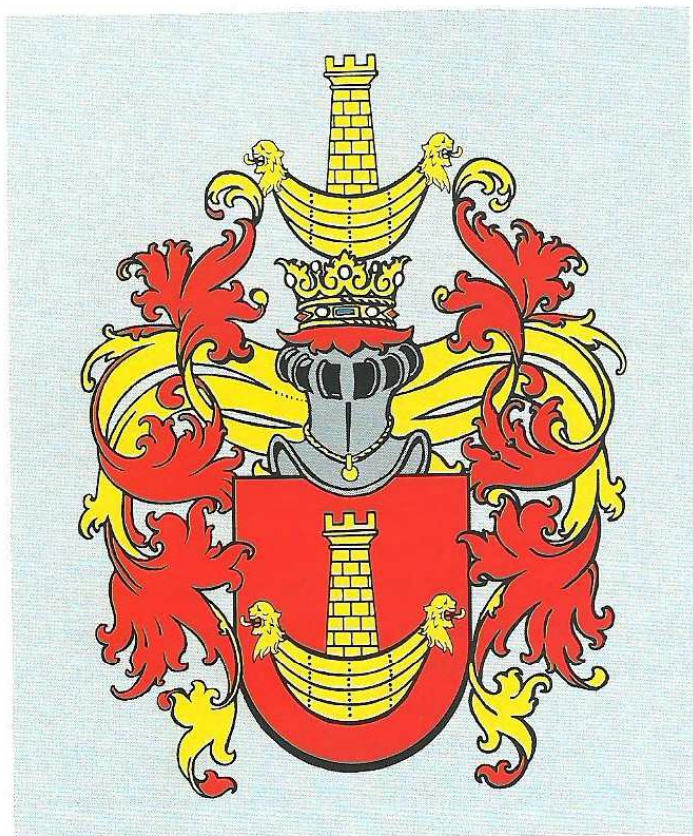
Z kserokopii rękopisu przepisywał, tytuł nadał i niektóre fragmenty tekstu wyakcentował Józef Alfred Dąbrowski. **Kuzynowi Mirkowi i jego żonie, Marcie (Dąbrowskim), chcę serdecznie podziękować za udostępnienie swego czasu rękopisów tych pism stryjenki Luboszy.** Rzeszów, sierpień 2014 r.

Przypisy

1. (do str. 25)

Andrzej Kulikowski *WIELKI HERBARZ RODÓW POLSKICH, Świat Książki, Warszawa 2005*

Korab



W polu czerwonym korab złoty z takąż wieżą blankowaną; klejnot – korab z wieżą jak na tarczy.

Herb znajduje się w *Klejnotach* Długosza, *Stemmata Polonica*, herbarzu Złotego Runa, *Codex Bergshammars* i herbarzyku Marka Ambrożygo. Najstarsze pieczęcie średniowieczne pochodzą z lat: 1299 – Jaśka, wojskiego kaliskiego, oraz Jana i Filipa z Grabanowa, 1352 – *Kodeks wielkopolski*, 1382 – Jana Radlicy, biskupa krakowskiego, 1382 – Mojka, kasztelana biechowskiego (Piekosiński, *Heraldyka...*; *Pieczęcie polskie*). Pierwsze zapiski sądowe wymieniające nazwę herbu pochodzą z 1403 r. (Kozierowski, *Studia*) i z 1409 r. (F. Piekosiński).

2. (Przypis do str. 34)

W książce **Bohdana Urbankowskiego** *Józef Piłsudski – marzyciel i strateg*, (wyd. ZYSK I S-KA, Poznań 2014) na stronie 164 znajduje się następujący fragment:

*Według raportów kapitana Nowaka, 6 sierpnia wyruszył z Krakowa „oddział w sile 150 ludzi uzbrojonych w broń własną” (49) – to była właśnie Pierwsza Kadrowa. Jeszcze tego samego dnia wyruszyła z Krakowa **grupa około 450 strzelców, która 8 sierpnia spotkała się z „Kadrówką” w Miechowie. 10 sierpnia po południu w Przegini i Krzeszowicach dozbrajały się dwa dalsze oddziały liczące odpowiednio 1050 i 1500 strzelców. (50)***

(49) Dane na podstawie: „Galicyjska działalność.... Dz. Cyt. S. 628

(50) - // -.....

3. (do str. 42)

List wujka Juliana Brody

pisany w czasie II WŚ (9 marca 1942 r.) z Kresów Polski (z Truńcy k/Wołkowyska) do swojej matki Marianny Brody przebywającej w tym czasie w domu Państwa Karpińskich w Miechowie. Przed II WŚ mieszkała u syna Józefa, który pracował na Pocztę w Szczawnicy i tam miał mieszkanie. Gdy on poszedł na wojnę, ona w Miechowie, za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, uzyskała pomoc i przygarnięta została przez p. Karolinę Karpińską. I tak zetknęły się rodziny Karpińskich z rodzinami Brodów, a później Dąbrowskich z Kaliny Małej

List wujka Juliana do mamy, Marianny Brody /o d p i s z r ę k o p i s u/

Stryjenka Kazia (żona brata ojca, Józefa Dąbrowskiego), w swoim liście pisany z Miechowa w dniu 13 grudnia 2003 roku, napisała mi tak:

Znalazłam stary list z 1942 roku, o którym mi Józek ciągle przypominał, aby nie zginął.

Oto ten list, który nie zaginął dzięki stryjowi Józkowi i jego żonie Kazi:

Truńce, dnia 9. III. 1942 r.

Kochana Mamo!

Bardzo dziękuję, że do mnie napisałaś. List odebrałem dzisiaj, będąc na zebraniu w gminie.

Bardzo nas wszystkich cieszy, że jesteście zdrowi i nie narzekacie na swój los, ale przeciwnie, z niego jesteście zadowoleni.

Różnie myśleliśmy i nie raz w rozmowie z żoną wspominaliśmy o Was, bo przecież dwa lata dobiegają jak ostatni list miałem od Was. Dużo zmian zaszło od tego czasu. Jednak los dziwnie kieruje mną, sprawiając że mimo kilkukrotnego wyjazdu z Truniec, z powrotem wracam tutaj. Na razie jest mi tutaj nie źle. Mamy cośkolwiek zjeść, jest mieszkanko maleńkie przy mleczarni; jest opał, pracy zbyt ciężkiej dla mnie nie ma, to i dni, chociaż jednakowe, biegają szybko.

Pracuję w mleczarni jako kierownik; pensja od 40 do 60 marek. Latem będzie większa, bo teraz to i pracy niezbyt wiele.

Zdrowie nam dopisuje. Ja szczególnie jestem zdrowy; Jolanta chorowała ale nie bardzo i już jej przeszło. Żona, chociaż nie ciężko, ale od czasu do czasu jako była Jola, chorowała i mogła zachorować naprawdę. Ale szczęśliwie była u dobrego doktora, który przepisał jej dobre lekarstwo. Lekarstwo to sprowadzałem z Prus, z Warszawy, a nawet z Berlina. Leczy się już czwarty miesiąc, może zaraz, da Bóg, wyzdrowieje zupełnie, gdyż przybyło jej 9 kg za trzy miesiące. Brat Janek, jako Wam to pisałem, został 10 stycznia 1940 roku wywieziony z całą rodziną w głąb Rosji. Przed wojną miałem list od niego. Pracował w Kopalni w mieście Karabasze, woj. Czelabiński, wraz z rodziną teścia, którego też wywieziono. Obecnie ziemią brata ja zarządzam i na zimę posiałem 6 metrów żyta. Przykro, że nie mogliście być przy swoich dzieciach, w swojej starości. Ale widocznie sam Bóg tak kieruje, aby wykazać, że są na świecie ludzie o wiele lepsi od własnych dzieci. Bardzo pragniemy zobaczyć się z Wami i będę się starał o to, aby tam pojechać, chociaż nie wiem ile podróż będzie kosztować, czy dostanę urlop i przepustkę. Żyjemy bowiem skromnie, chociaż co prawda biedy nie mamy. Przysłałbym Wam fotografię, ale żona z córeczką naszą wpierw, wraz ze mną, pojechać musi do Wołkowyska zrobić zdjęcie, gdyż dotąd nie mamy. Posyłamy Wam najserdeczniejsze pozdrowienia i stokrotne ucałowania, życząc aby Bóg, który nas wywiódł z tyłu niebezpieczeństw, pozwolił nam zobaczyć się jeszcze.

Proszę pisać częściej do nas.

Żona wraz z wnuczką Jolą posyłają Wam uściski i ucałowania. Dziękujemy wspólnie Panu Bogu, że dał Wam tak dobrą i szlachetną opiekunkę.

Wasz syn Julek wraz z Felą i Jolą

List przepisał: J. Alfred Dąbrowski
Rzeszów, 24.03.2012 r.



Julian Broda (1910 – 1987). Zdjęcie otrzymane bezpośrednio od wujka Juliana.
Na odwrocie zdjęcia wujek Julian napisał: *Alfredowi i Annie Dąbrowskim na pamiątkę*
przesyłam. J. Broda, 22.01.1984 r.

*

*

*



Nie mając dostępu do kuferka Józia Tabaki i leżącego tam albumu ze zdjęciami, które stryjenka Lubosza przewidziała jako ilustracje do swojej *Kroniki*, ułożyłem w jej tekście kilka zdjęć, które sam posiadam. Może w przyszłości uda się wzbogacić ten zbiór zdjęć.

Józef Alfred Dąbrowski

Rzeszów, luty 2016 r.